

**JEAN EVANS**

**Wrażliwe  
serce**



*Harlequin*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Z koszyka, który Thea Somers postawiła na stole, rozległo się pełne oburzenia miauknięcie.

- Proszę bardzo - uśmiechnęła się do kobiety wchodzącej do gabinetu z lękiem na twarzy. - Tibbles jest prawie jak nowy. Obawiam się, że miejsce po operacji przez jakiś czas będzie wyglądać trochę dziwnie. Musieliśmy wygolić mu okolice biodra i widać szwy, ale zapewniam panią, że futerko szybko odrośnie, a dzięki troskliwej opiece wkrótce będzie znowu szalał na dworze. Miejmy nadzieję, że więcej nie będzie błąkał się zbyt blisko ruchliwych ulic.

W niebieskich oczach siedemdziesięcioletniej Emily Ford pojawiły się łzy.

- Nieważne, jak on wygląda. Liczy się tylko to, że żyje. Był w strasznym stanie, kiedy go tu przyniosłam. Tyle krwi... - Wzdrygnęła się. - Myślałam, że nie przeżyje.

- Niewiele brakowało - potwierdziła łagodnie Thea i lekko uchyliwszy pokrywę kosza, delikatnie pogłaskała ogromnego, biało-czarnego kota. - Spotkanie z samochodem skończyło się złamaniem kości biodrowej i musiał wlec się w tym stanie kawał drogi. Na szczęście udało się nam go poskładać.

- Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem wdzięczna

- powiedziała Emily. - Od śmierci Teda jest moim jedynym towarzyszem. Nie wiem, co bym bez niego zrobiła.

- Rozumiem. - Thea poczuła nagły ucisk w gardle.

- Zwierzęta tak bardzo się przywiązują, prawda? - Zamknęła dokładnie koszyk. - Tibbles przez pewien czas będzie apatyczny i osłabiony, ale to normalne po narkozie. Będzie też odczuwać ból, więc dam pani tabletki.

Asystująca im młoda blondynka w fartuchu pielęgniarki podała kobiecie małe pudełeczko. Thea uśmiechnęła się.

- Proszę, pani Ford. Trzy razy dziennie po jednej, rozgnieść i rozpuścić w niewielkiej ilości mleka. Z pewnością pomoże. I gdyby mogła pani przynieść tu go za tydzień, to sprawdzę szwy. - Wstała i kiedy jej pomocnica wyprowadzała kobietę, przeciągnęła się.

Po paru chwilach Sandra Watt, drobna blondynka, wróciła do gabinetu i postawiła na stole filiżankę kawy.

- Pomyślałam, że dobrze ci zrobi.

- Jesteś aniołem. - Thea odsunęła z czoła niesforny kosmyk kasztanowych włosów. - Co za ranek! Skąd tyle tego?

- Niestety, to jeszcze nie koniec. - Dziewczyna uśmiechnęła się niepewnie, porządkując instrumenty. - Przed chwilą przyniesiono kolejnego pacjenta. Najwyraźniej dzisiejszy ranek jest „koci”.

- Co mu jest? - Zielone oczy Thei przygały.

- Nie mam pojęcia, ale nie wygląda to dobrze.

- Uhm, w takim razie zajmę się tym od razu.

Wypiła duszkiem kawę, parząc sobie trochę usta, lecz na widok mężczyzny trzymającego na rękach rudego kota zmusiła się do uśmiechu.

- Proszę położyć go na stole, panie... - rzuciła okiem na wręczoną jej przez Sandrę kartę - Reynolds. Co mu dolega?

- Nie wiem. - Spojrzał na prężącego się i miauczącego z wysiłkiem kota. - Tak jest od wczoraj wieczorem. Jakby chciał się załatwić, ale nie był w stanie. Nie je, tylko siedzi w swoim pudle i pręży się.

- Tak... - Thea zmarszczyła brwi. - Przyjrzyjmy się mu. Cześć, kiciu. Jak się nazywasz?

- Henry.

- W porządku, Henry. Zobaczmy, co się da dla ciebie zrobić. - Mówiąc cichym, uspokajającym tonem, delikatnie zbadała grzbiet zwierzęcia, a potem przesunęła dłońmi po jego brzuchu. Kot szarpnął się i napiął. - Już dobrze, kiciu. Przepraszam. Nie zrobię ci krzywdy. - Pogłaskała aksamitne uszy i spojrzała na Sama Reynolds. - Coś mu się może przydarzyło?

- Nic o tym nie wiem.

- Zauważył pan krew w jego moczu?

- Nie. Chyba nie.

Bardzo delikatnie przesunęła znów ręką po brzuchu zwierzęcia.

- Hm, pęcherz jest zdecydowanie powiększony.

- Co to znaczy? Czy może pani coś na to poradzić? Dzieci będą zrozpaczone, jeśli Henry'emu coś się stanie.

- Rozumiem. - Uśmiechnęła się. - Dobrze pan zrobił, przychodząc z nim tak szybko. Zatrzymanie moczu jest spowodowane zatkaniem dróg moczowych przez kamień, co występuje wśród kocurów zadziwiająco często.

- Jaka jest tego przyczyna?

- Są różne rodzaje kamieni. Mogą się tworzyć z powodu niewłaściwej diety, zbyt małej ilości płynów albo infekcji. Tutaj podejrzewam to ostatnie.

- Ale potrafi to pani wyleczyć?

- O, tak. Musimy zapewnić mu dużo płynów i dla ułatwienia odpływu moczu założyć cewnik. Potem poprawa nastąpi dość szybko. - Podniosła kota i głaszcząc podała Sandrze. - Niech zostanie u nas przez dobę, a jutro na pewno będę miała dla pana dobre wiadomości.

Uspokojony Sam Reynolds wyszedł, a Thea zdezynfekowała stół do badań.

- Lepiej zajmijmy się biedactwem od razu. Założę mu cewnik. - Sprawnie wykonała zabieg, a Sandra umieściła kota w klatce.

- Cześć! Czy masz chwilę czasu? - W drzwiach pojawił się Andrew Tyler, jej szef i kolega z lecznicy dla zwierząt.

- Wejdz! - odpowiedziała z uśmiechem. Zerknęła na zegarek i jęknęła. - Ojej, już tak późno? Miałam urwanie głowy. A ty? Miałeś dużo wizyt?

- Właśnie wróciłem. - Czterdziestoletni, przystojny blondyn zatarł ręce. - Nie mogę powiedzieć, żebym ci współczuł. Na dworze coraz większy ziąb, a ja muszę znów wyjść.

- Coś pilnego?

- Niewykluczone. - Zacisnął wargi. - Wzywa mnie Jack Dawson. Wygląda na to, że jedna z jego krów zjadła truciznę. Wypiję szybko kawę i lecę, ale chciałbym cię o coś prosić. - Wyciągnął z kieszeni kartkę. - To lista tego, co dziś rano dostarczono do lecznicy. Miałem sprawdzić, ale nie znalazłem ani jednej wolnej chwili...

- Zostaw to mnie - przerwała z uśmiechem.

- I jeszcze jedno. W tej dostawie były też próbki, o które prosiłaś. Położyłem je na górnej półce w aptece. - Spojrzał na zegarek i skrzywił się. - Muszę już iść. Powiesz mi potem, co o nich sądzisz. Szczególnie interesuje mnie to nowe mleko. Cholera! - Zatrzymał się w drzwiach. - Wiedziałem, że o czymś zapomniałem. Miałem ci zawieźć słomę i zapas żywności do schroniska.

- Nie przejmuj się - powiedziała. - Dam sobie radę. Pij kawę. Dobrze ci zrobi.

Gdy tylko zamknęły się za nim drzwi, Sandra roześmiała się.

- Trąba powietrzna przeszła, scena pusta. Jeśli już o tym mowa, czy masz coś przeciwko temu, żeby zamknąć ten interes? Obiecałam mamie, że pojedę z nią do miasta, więc...

- Idź już - pogoniła ją Thea dobrotliwie. - Ja mam jeszcze trochę roboty, więc zamknę za ciebie.

Wkrótce potem przeszła do części aptecznej lecznicy i zaczęła sprawdzać nową dostawę szczepionek, leków oraz innych środków.

- W porządku, to się zgadza - mruknęła, zerkając na listę. - A teraz próbki. - Spojrzała na półki i weszła na krzesło, aby zobaczyć, co się dzieje na górze. Krzesło zakołysało się niepewnie. Podciągnęła wąską spódnicę nad kolana. Gdyby wiedziała, że tego dnia czeka ją takie alpinistyczne przedsięwzięcie, ubrałaby się stosowniej. Wyprostowała się energicznie i lekko krzyknęła, gdy krzesło znów się zachwiało.

- Jeśli myśli pani o rzuceniu się w dół, nie polecałbym tego.

Wzdrygnęła się na dźwięk ochrypłego męskiego głosu i krzesło znów zachybotało niebezpiecznie. W panice chwyciła się mocno najbliższej półki, powoli odwróciła się i dostrzegła wysoką postać, opartą nonszalancko o futrynę drzwi. Zaskoczona, niemal otworzyła usta. Ciekawe, od kiedy tak stoi i obserwuje jej zmagania.

Miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu - na tyle oceniała go, patrząc z góry. Twarz o wyrazistych rysach, prawie czarne włosy, ciemny, dwudniowy zarost na policzkach. Wygląda, jakby miał za sobą ciężką noc, i nie tylko, pomyślała.

Ale to właśnie twarz wywarła na niej największe wrażenie. Mimo że nie była uderzająco przystojna, miała w sobie coś, co Theę zaniepokoiło - odniosła wrażenie, jakby tę twarz skądś znała. To niemożliwe, pomyślała. Nigdy w życiu nie widziała tego człowieka. Nie zapomniałaby go na pewno!

Widząc ciemnoniebieskie oczy skierowane na swoje kolana, wymamrotała coś pod nosem i próbowała spuścić na podłogę jedną nogę. Zachwiała się.

- Nie jest to dobry strój do wspinaczki, prawda? - zauważył, z nie ukrywanym zainteresowaniem przesuwając wzrokiem wzdłuż jej nóg. - Pani jest tu szefem?

- Nie. - Nie miała zamiaru udzielać więcej informacji obcemu człowiekowi, który mógł być włamywaczem... - Lecznica jest zamknięta. - Obciągnęła spodnicę. - Jak pan tu wszedł?

- Drzwiami, jak zwykle. Uważam, że tak jest najbezpieczniej - odparł łagodnie. - Nie jest pani przypadkiem nową asystentką?

- Nie. - Zmarszczyła brwi. - Przysięgłabym, że

drzwi były zamknięte. O rany! - Zaczęła żonglować pudełkami, które w końcu udało się jej znaleźć.

- Wygląda na to, że przydałaby się pani pomoc. - Uśmiechnął się leciutko. - Czy mogę?

- Nie! - Niezgrabnie starała się dotknąć nogą podłogi, gubiąc przy tym pantofel. - Dam sobie radę! - Krzesło przechyliło się i pudełka rozsypały się na wszystkie strony. Krzyknęła i jednocześnie poczuła silny uścisk ramion.

- W porządku. Jest pani prawie bezpieczna, trzymam panią. - Cofnął się, unosząc ją bez wysiłku. Na kilka sekund zawisła w powietrzu. Po chwili opuścił ją powoli, aż stanęła pewnie na ziemi. Czubkiem głowy sięgała jego policzka. - A teraz już zupełnie bezpieczna. - Oprócz kpi-ny w niebieskich oczach było coś, co ją trochę zbiło z tropu. - Przypuszczam, że jest to pani zwyczajem?

- Co?

- Powiedziała pani, że szefa nie ma i była przekonana, że drzwi są zamknięte. - Zmysłowe usta nieznamomego skrzywiły się ironicznie. - Nie sądzę, żeby znalazła tu pani wiele łupów, ale proszę nie przerywać sobie z mojego powodu. - Jedwabisty głos pełen był uprzejmości. - Jestem pewien, że Andrew jest ostatnim człowiekiem, który poskapiłby pani paru drobiazgów, ale jakie ja mam prawo panią osądzać? - Uniósł do góry brwi. - Gdybym wiedział, czego pani szuka, może mógłbym pomóc?

Wreszcie pojęła. On myśli, że to ona jest włamywaczem. Śmieje się z niej.

- To nie do wiary - warknęła ze złością. - Proszę mnie puścić, zanim...



- Zacznie pani krzyczeć? - Puścił ją, ale nie przestał się uśmiechać. - Proszę bardzo, jeśli pomoże to pani poczuć się lepiej, choć wątpię, czy ktokolwiek panią usłyszy. Sama pani powiedziała, że nikogo tu nie ma.

- Niczego takiego nie mówiłam - rzuciła oschle i nagle zdała sobie sprawę z daremności zaprzeczeń. On po prostu świetnie się bawi.

Drań, pomyślała, cofając się zdecydowanie, ale nie na tyle daleko, by nie poczuć delikatnego zapachu luksusowej wody po goleniu.

- Pan pił? - Spojrzała na niego przenikliwie. Dobry Boże, być w pułapce z włamywaczem to jedno, a z pijanym włamywaczem to zupełnie coś innego.

- Jeszcze nie - odparł - choć muszę przyznać, że ten pomysł ma swój urok.

- Po co pan tu przyszedł? - Zignorowała jego sarkazm i zajęła się podnoszeniem z ziemi pudełek. - Lecznicza jest zamknięta.

- To bez znaczenia. - Odsunął się i włożył ręce do kieszeni dżinsów, spłowiących, ale z firmową metką.

Włamywacz o kosztownym guście - jeszcze gorzej. Jęknęła w duchu, widząc, jak leniwym spojrzeniem przesuwają po pełnych półkach, będących jedyną ozdobą pokoju.

- Może panu pomóc? - spytała gniewnie.

- Nie spieszę się - odparł. - Miałem nadzieję spotkać się z Andrew.

- Andrew? Zna go pan? Cóż, przykro mi, ale nie ma go... - Zwilżyła wargi. - Szkoda, że nie uprzedził go pan o swojej wizycie. Zaoszczędziłoby to panu trochę czasu.

- Na to wygląda, prawda? - Odwrócił wzrok od wywieszki informacyjnej. - Choć nie był to czas całkowicie stracony - dodał kpiąco.

Znów odniosła nieodparte wrażenie, jakby coś poznała: coś w jego oczach, a może głos. Ale były to jedynie przebłyski, które nie chciały się ułożyć w spójną całość. Potrząsnęła głową i przytrzymując brodą stertę pudełek, zastanawiała się, jak umieści to wszystko w samochodzie. I jak precyzyjnie się tak obładowana obok niego, w tej ciasnej aptece?

- Przepraszam - powiedziała - ale muszę zamykać. - Zawahała się. - Może coś przekazać Andrew?

- Nic pilnego. Skontaktuję się z nim innym razem. Pomogę pani.

- Nie, dziękuję, poradzę sobie. - Zrobiła krok do tyłu i usłyszała jęk bólu. - Co się stało? - Odwróciła się. W tej samej chwili mężczyzna podniósł głowę i trafił nią w pułdła.

Zaklął cicho pod nosem.

- Moja stopa - poinformował, skacząc na jednej nodze i przyglądając się wyraźnemu wgłębieniu, jakie jej ośmiocentymetrowa szpilka wycisnęła na jego bucie.

- Och, przepraszam bardzo. Tu jest mało miejsca. Mówiłam, że sobie poradzę.

Stracił poczucie humoru i Thea poczuła się nieswojo, zobaczywszy, jak mężczyzna wyciera chusteczką plamkę krwi z zadraśniętego czoła.

- Nie znam pana, prawda? - spytała ostrożnie. - Mam jednak wrażenie, że już się spotkaliśmy.

- Moja droga, gdyby tak było, na pewno bym panią pamiętał - odparł z przekąsem.

Zawahała się i położyła pudełka na stole.

- Po prostu jest w panu coś...
- Na co umarła pani ostatnia ofiara? - Utykając podszedł do stołu i przysiadł na nim, zaciskając zęby.
- Przeprosiłam pana. Przecież to było niechcący.
- Na pewno - przyznał niechętnie. - Proszę się nie przejmować.

Thea zwilżyła usta.

- Wiem, że to nie moja sprawa...
- Mam wrażenie, że nie ma to dla pani większego znaczenia. - Spojrzał na nią z dezaprobatą. - Nie podejrzewam, żebym miał szansę dostać filiżankę mocnej, czarnej kawy?

- Niech pan spróbuje w kawiarni.

- Nie jestem pewny, czy będę w stanie tam dojść.

Istotnie, wyglądał na wyczerpanego. Thea próbowała być ostrożna, lecz współczucie wzięło górę. - Najlepszym lekarstwem na kaca jest sen - poinformowała bez ogródek. - Nie zaszkodzi też coś zjeść.

Przyglądał się jej spod gęstych, czarnych rzęs.

- Jeśli to zaproszenie, to może zjemy lunch?
- Pan chyba żartuje. Poza tym czy pan wie, która jest godzina?

- W porządku, nie mówmy o lunchu. A więc kolacja.

- Muszę iść - oznajmiła krótko. Otworzyła gwałtownie szufladę i napisała kartkę dla Andrew. - Zaraz zamykam - oświadczyła. - Jeśli nie chce pan spędzić tu weekendu, proponuję opuścić ten lokal. - Ostentacyjnie zamknęła szufladę.

Skrzywił się.

- Musi pani robić to tak głośno?

- Może nie należało dziś zachodzić do pubu albo powinien pan dolewać więcej wody do drinków?

- Niech pani nie pogarsza mojego stanu, droga pani. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były piekłem. W tej chwili pęka mi głowa, a do końca dnia jeszcze daleko.

- Tym więcej powodów, żeby się przespać - odpowiedziała chłodno.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem. Westchnęła rozpaczliwie, sięgnęła do torebki po aspirynę i podała mu dwie tabletki.

- Proszę. Przy odrobinie szczęścia może polepszy się panu humor.

- A jaką szkołę wdzięku pani skończyła?

- Niech pan nie wyładowuje się na mnie - odparła zimno. - Radzę raczej napić się kawy. A teraz muszę już zamknąć. Powinnam wyjść stąd kwadrans temu. Polecam panu Copper Kettle na rynku.

- Dobrze. - Zasalutował i ruszył do drzwi. - Jeśli spotka pani Andrew, proszę mu powiedzieć, że byłem.

Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że nie zna jego nazwiska. Wzruszyła ramionami. Zapewne więcej go już nie zobaczy. Wyniosła pudła i w końcu zamknęła za sobą drzwi.

Ładując je do land rovera - a także belę siana i ogromną torbę z żywnością dla zwierząt - myślała o pracy, jaka czeka ją po powrocie do domu. Najpierw, jak zwykle, trzeba obejrzeć i nakarmić zwierzęta. Westchnęła. Coraz trudniej było utrzymać schronisko. Myślała o zaciągnięciu w banku niewielkiej pożyczki, ale w ostatniej chwili odrzuciła ten pomysł. Wpadanie w długi i tak niczego na dłużej nie rozwiąże.

Nie chodziło tylko o koszty żywienia zwierząt, choć były one znaczne, lecz również o koszt leków i utrzymywania klatek. Na początku schronisko było zabawą. Przygarnęła najpierw kota, którego znaleziono rannego na skraju szosy, potem lisiątko, i zanim się zorientowała, miejscowe dzieci zaczęły przynosić jej wszystkie chore lub zabłąkane zwierzęta.

Westchnęła znowu. Jeden królik, na przykład, nie jest problemem, ale kiedy rodzi pięć nowych, sprawy przybierają całkiem inny obrót. Nie chodzi już tylko o pieniądze na jedzenie - problemem staje się również przestrzeń. Na szczęście dzierzawa terenu wygasa dopiero za pół roku. Ale czy następcą Boba zechce utrzymać dotychczasowe warunki? I samo schronisko?

Ze starym doktorem Craigiem miała przyjacielską umowę. Trzy lata temu, po wykupieniu udziału w spółce z Andrew, nie zostało jej wiele pieniędzy. Za kawałek ziemi, z którego Bob Craig nie miał żadnego pożytku, zapłaciła mu po prostu, ile mogła. Może jako lekarz rozumiał, co czuła. Nie każdy jednak jest taki szczodry, zwłaszcza wobec zwierząt.

Usiadła za kierownicą, włączyła silnik i powolutku zaczęła wycofywać się z ciasnego miejsca.

- Uwaga!

Krzyk rozległ się zbyt późno. Gwałtowny wstrząs rzucił ją do przodu, a na dźwięk tłuczonego szkła głośno jęknęła.

- O, nie, jeszcze tego brakowało. - Przymknęła powieki i położyła dłoń na klamce, ale ktoś z zewnątrz otworzył drzwi szybciej.

- Tylko idiota... - Znała ten głos. - O nie, to znowu

pani. O co w tym wszystkim chodzi, moja droga? Czy ma pani coś przeciwko mnie osobiście, czy mężczyznom w ogóle?

- Panu?! - warknęła Thea, odpychając rękę, którą chciał ją wyciągnąć z samochodu. - Niech pan nie będzie śmieszny! - Prędej ją piekło pochłonie, nim da się zastraszyć przybyszowi, który zachowuje się, jakby to miasto było jego własnością. Wysiadła i poszła obejrzeć tył samochodu.

- Nie wiem, dlaczego pan się tak denerwuje, skoro to mój samochód jest uszkodzony.

- Sprawiedliwość dziejowa.

Sprawiedliwość, też coś. Na ciemnozielonym porsche nie było nawet zadrapania. Był błyszczący i elegancki - dekadencja nie na miejscu w małym, prowincjonalnym miasteczku. Wzbudziło to w Thei rozgoryczenie. Spojrzała na mężczyznę wilkiem.

- Nawet półgłówek zobaczyłby, że nie ma tu miejsca na parkowanie dwóch samochodów.

- Droga pani, gdybym wiedział, że to pani samochód - skinał lekceważąco w kierunku land rovera - nic nie skłoniłoby mnie do zaparkowania w promieniu pięciu kilometrów.

Wciągnęła ostro powietrze.

- Nie musi pan być aż tak niegrzeczny i proszę przestać nazywać mnie „drogą panią”.

Uśmiechnął się lekko i oparł ramieniem o samochód.

- Przychodzą mi do głowy inne słowa, ale nie jestem pewny, czy pani się spodobają.

- Nazywam się Somers - wycedziła. - Thea Somers. Jak widzę, humor się panu nie poprawił.

- Miałem dobry, dopóki pani nie spotkałem.

- Niech pan nie będzie dziecinny. - Spojrzała na zegarek i z niezadowoleniem oświadczyła: - Skoro nie poniosł pan żadnej szkody, odjeżdżam. Mam mnóstwo spraw do załatwienia. - Otworzyła drzwi i wśliznęła się za kierownicę. Musiała dwukrotnie przekręcić kluczyk, zanim silnik zaskoczył.

Wsunął głowę przez otwarte okno.

- Nie sądzi pani, że powinniśmy przynajmniej wymienić nazwiska i adresy? Skąd mam wiedzieć, jak panią złapać? I przy okazji, mów mi Joel. Joel Forrester.

Ze zgrzytem wrzuciła bieg.

- Nie musi mnie pan łapać, panie Forrester. Och, i przy okazji - zaczęła energicznie zakręcać okno - czyżbym zapomniała panu powiedzieć, że obowiązuje tu zakaz parkowania, z wyjątkiem oczywiście pracowników i dostawców?

Nacisnęła pedał gazu. Kątem oka dostrzegła policjanta zmierzającego wyraźnie w ich kierunku.

Joel Forrester cofnął się szybko. W lusterku wstecznym zobaczyła twarz, na której wypisane były jednocześnie uczucie zawodu i wściekłość. Zaśmiała się cicho.

Uciekła, choć nie wiedziała dokładnie, przed czym. Miało to może coś wspólnego z parą ciemnoniebieskich oczu obiecujących zemstę.

Na pustej szosie przycisnęła mocniej pedał gazu, zadowolona, że już więcej nie spotka tego człowieka. Joel. Ładne imię. Ale jego właściciel jest okropny.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Jedenasta. Z niedowierzaniem spojrzała na zegarek. Ziewając szeroko, poszła do kuchni odnieść pustą szklankę. Umyła naczynia i wyłączyła elektryczny czajnik. Pogłaskała sukę, owczarka collie, która opierając pysk na łapach, ułożyła się na swym legowisku blisko bojlera.

- Spij dobrze, Jess. - Zgasiła światło i z uśmiechem dodała: - Mam nadzieję, że pchły cię nie zjedzą.

Odwróciła się, lecz ledwo doszła do drzwi, usłyszała ciche warczenie.

- Przestań, Jess, za późno na zabawę. Jedna z nas musi rano wstać.

Suka postawiła uszy, podbiegła do tylnych drzwi i zaczęła w nie drapać.

- Nie rób mi tego, Jess. Jestem wykończona. To pewnie kot... - Urwała, sztywniejac na odgłos dochodzących z ciemności głuchych uderzeń, po których nastąpiła kakofonia pisków i skrzeków. - W porządku, Jess. Słyszę.

Dotknięciem ręki uciszyła psa. Coś albo ktoś jest na dworze. Instynktownie sięgnęła do pstryczka i pokój pogrzył się w ciemnościach. Uchylając lekko drzwi, wyjrzała na podwórko.

Nie dostrzegła żadnego ruchu, ale ze stojących poza



zasięgiem jej wzroku klatek dochodziły stłumione odgłosy protestu. Och, nie, jęknęła. Wyrzebała z szuflady latarkę, wybiegła na podwórko i prawie natychmiast dostrzegła wyłamany fragment ogrodzenia. Z przerażeniem pobiegła do starej stajni, w której mieściły się klatki ze zwierzętami. Podczas wieczornego obchodu z pewnością były zamknięte, teraz zaś kołyszące się swobodnie drzwiczki dwóch klatek zapowiadały, że są one puste.

Nagle przypomniała sobie ostrzeżenie Andrew sprzed paru dni. W okolicy dokonano kilku aktów wandalizmu: otwarcie rozmyślnie bramy paru farm, podpalenie stodoły - choć na szczęście wcześniej zauważone i ugaszone. Ale coś takiego...

Sprawdziła szybko pozostałe klatki i z ulgą stwierdziła, że haczyki nadal są porządnie zamocowane.

- Dobra sunia, dobra - pochwaliła Jess, kucnąwszy przy niej. - Zdaje się, że przeszkodziło im twoje szczekanie.

Nie mogła jednak zostawić zaginionych zwierząt na łasce losu. Goldie, młoda lisiczka, miała zranioną nogę, która dopiero zaczynała się goić, a Gerald z uszkodzonymi przednimi łapkami nie miałby żadnych szans przy spotkaniu z miejscowym kotem. Wyprostowała się i spojrzała w ciemność.

Skierowała światło latarki na ogrodzenie. Jedna z desek, wyrwana siłą z płotu, leżała na ziemi.

- Wiemy przynajmniej, którądy weszli - powiedziała cicho do psa. - Pytanie, czy są tu nadal? - Mocując prowizorycznie deskę, powiodła wzrokiem w stronę starego domu Boba Craiga.

Dziwne. Pali się tam światło. Dzicy lokatorzy? A może ci sami młodzi chuligani, którzy wypuścili z klatek jej zwierzęta?

Jakby wyczuwając jej niepokój, Jess znów wydała z siebie głęboki pornruk. Thea uspokajającym gestem położyła rękę na jej łbie.

- Wiem - powiedziała miękko. - Też mi go brakuje, ale teraz zacznijmy już szukać naszej zguby, najlepiej nie budząc przy tym całego sąsiedztwa.

Przyznała w duchu, że to trochę dziwaczne - w szlafroku i kapciach szukać zwierzaków w środku nocy. Ruszyła w stronę stojącej na drewnianym pomoście klatki dla kurcząt, gdzie zwierzęta najprawdopodobniej się schroniły.

Oparta na kolanach i dłoniach próbowała, świecąc sobie latarką, zajrzeć pod podłogę klatki. W ciemności błysnęły dwa punkciki i rozległ się odgłos niecierpliwego szurania.

- Gerald? - szepnęła. - Nie czas na udawanie. Wiem, że tam jesteś. - Znowu odgłosy szurania. - Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, nie chowaj się. - Przesunęła smugą światła pod podłogą. - Miałybyś niezłą nauczkę, gdybym zostawiła cię kotom na pożarcie. - Wzdrygnęła się. - Gerald, to wcale nie jest zabawne. Jestem zmęczona i zimno mi. Chodź.

- Co tu się dzieje, do diabła?

Gwałtownie zerwała się na nogi i wyrznęła głową w wystającą deskę.

- Auu!! - Z bólu pojawiły się jej w oczach łzy, a z ręki wypadła latarka i potoczyła się po trawie, mrugając przez jakiś czas, aż w końcu zgasła. Thea jęknęła

i sięgnęła po nią, ale czyjaś stopa kopnęła latarkę, nim zdążyła jej dotknąć.

- O, nie - wycedził męski głos. - Ostrzegam, żądnych gwałtownych ruchów, bo nie zdążysz pożałować.

Protest zamarł jej na wargach. Wmawiała sobie, że to niemożliwe, ale przecież zapamiętała ten głos.

- To pan! - jęknęła cicho. W panice pomyślała **0** ucieczce, ale wiedziała, że byłaby to czysta głupota - na pewno by za nią pobiegł. Oślepiło ją światło latarki. Zasłoniła ręką oczy, a snop światła powoli przesunął się od jej zmierzwionych włosów poprzez ciasno opięty szlafrok do stóp i z powrotem, na twarz.

- No, no. Pani Somers. - Ręka Joela Forreстера zacisnęła się na jej ramieniu. Thea niespokojnie zadrzała instynktownie próbowała zrzucić jego dłoń. - Wciąż te same sztuczki - ciągnął ironicznie. - Co za wszechstronne uzdolnienia.

Uścisk jego palców wzmagął w niej jednocześnie poczucie bezradności i narastającą wściekłość.

- Musiał pan tak hałasować? - spytała ze złością.

Zapewne Gerald jest teraz tak przerażony, że nie uda się skłonić go do powrotu. Spojrzała znacząco na trzymającą jej ramię dłoń i po raz drugi tego wieczoru zadrzała, jakby się czegoś bojąc. Podjęła jednak ryzyko.

- To boli.

Natychmiast cofnęła rękę. Pochyliła się i podniosła latarkę, jednak na próżno usiłowała ją włączyć.

- Co się z tym, do cholery, stało? - Potrząsnęła nią energicznie. - Nie kontaktuje.

- Zaczynam sądzić, że nie ona jedna - dobiegły z ciemności jadowite słowa.

Zacisnęła wargi.

- Co pan tu właściwie robi?

- Czy to nie ja powinienem o to zapytać? Tak się składa, że mieszkam w sąsiednim domu. Miałem nadzieję pójść o rozsądnej porze do łóżka i nadrobić zaległości w spaniu. Zamiast tego usłyszałem hałasy, zobaczyłem światło i poszedłem sprawdzić, co się dzieje. - Strumień światła przesunął się nieco. - Być może się powtarzam, ale czy nie przesadza pani z tym wlamywanym się?

- Ma pan rację - odparła chłodno. - Powtarza się pan i nie jest to zabawne. - Uklękła, by zajrzeć pod klatkę.

- Zapewne będę żałował tego pytania, ale co o tej porze robi tu pani na czworakach?

- Jeśli musi pan wiedzieć, to szukam Geralda.

- Geralda? Pod podłogą? - Prychnął i strzelił palcami. - Że też na to nie wpadłem!

- On lubi to miejsce. - Nie miała zamiaru reagować na jego sarkazm. - Lubi chować się w ciemności. Czuje się wtedy bezpieczny.

- Bezpieczny! - powtórzył przez zaciśnięte zęby. - Droga pani, jeśli to biedne stworzenie ma choć odrobinę rozsądku, to w tej chwili jest już daleko stąd. Kim pani jest? Jakimś nowym środkiem rażenia? - Jego twarz drgnęła, udając przerażenie. - A poza tym, ten Gerald... ile ma lat?

- Cztery, koło pięciu.

- Pięć - powtórzył jękliwie, przyklękając przy niej. - Dobry Boże, co z pani za matka, jeśli pozwala pani bezbronnemu dziecku wałęsać się w środku nocy?

- Dziecku! - Podskoczyła i znowu uderzyła się

w głowę. Krzyknęła z bólu i oburzenia jednocześnie. - Gerald jest szczurem!

Joel Forrester spojrzał na nią z niesmakiem.

- Biedny mały będzie zapewne potrzebował psychoterapii do końca życia. Na twoim miejscu, Gerald - podniósł głos - wyszedłbym stamtąd i nie oglądał się za siebie.

Urażona, odparła ze złością:

- Pominę milczeniem zniewagę, bo nie czuje się pan dobrze...

- Nie czuję się...

- Kiedy mówię, że Gerald jest szczurem, to znaczy, że jest szczurem. Gry-zo-niem - przesylabizowała wyraźnie. - Był bezpieczny w swojej klatce jeszcze godzinę temu, mamy jednak kłopoty z chuliganami. Dostali się przez dziurę w płocie i zdążyli otworzyć dwie klatki, nim wystraszyło ich szczekanie Jess.

Ogarnęło ją poczucie winy. Miała zamiar doprowadzić płot do porządku, ale jak zwykle problemem były pieniądze, a prowizorka okazała się niewystarczającym zabezpieczeniem.

- Mniej martwię się o Goldie - wyznała i zobaczyła, jak zwężają mu się oczy.

- Goldie?

- To młoda lisiczka.

- No, oczywiście.

- Jest oswojona. Znajdzie drogę, kiedy zgłódnieje.  
- Znowu pochyliła się, wołając zwierzątko po imieniu.  
- Gerald był ostatnio ciężko chory i jest z tego powodu bardzo nerwowy.

- Nie tylko on. Mam za sobą ciężki dzień, droga pani,

i nie potrzebuję takich atrakcji. Poza tym nikt o zdrowych zmysłach nie czołga się na czworakach w ciemnościach.

Musiała przyznać mu rację.

- Cóż, nie zatrzymuję pana. Może sen poprawi panu charakter. To nie jest wina Geralda, że jacyś smarkacze bawią się w ten sposób. Ponadto on raczej nie wyjdzie, słysząc podniesione głosy. Lepiej poradzę sobie sama...

- Urwała, dojrawszy błyszczące w ciemności punkciki.  
- Gerałd - prosiła cichutko i wyciągnęła dłoń - już dobrze, możesz wyjść. Ten okropny człowiek nie zrobi ci krzywdy.

- O, mój Boże, wreszcie rozumiem. To po prostu koszmary sen. Obudzę się, mam nadzieję, po co najmniej dwudziestu czterech godzinach i przekonam się, że to wszystko jest wynikiem zmiany czasu. Umysł płata mi figle.

Lekko gwizdnęła z zadowolenia, wyciągnęła ramiona, by wyjąć przerażone zwierzątko i przytuliła je opiekuńczym gestem.

- Już dobrze, Geraldzie. Niech pan spojrzy - powiedziała radosnym głosem i podsunęła mu małą, futrzaną kulkę. - Czy nie jest miły?

- Raczej nie - odparł z lekkim obrzydzeniem.

- Chyba nie boi się pan małego, bezbronnego szczura?

Podniósł głowę i przysięgłaby, że zadrzał.

- Spotkałem w życiu parę szczurów, moja droga, i nie były one ani miłe, ani bezbronne. A teraz, jeśli nocne przedstawienie skończone - warknął - zamierzam iść do łóżka i spać jak najdłużej; mam nadzieję,

bez przeszkód. Proszę zrobić mi przysługę i lepiej pilnować swoich szcurków albo będę zmuszony podjąć drastyczne kroki. Czy to jasne? - Wręczył jej swoją latarkę. - Proszę, niech pani to weźmie.

Była skłonna wybaczyć mu zły humor, skoro był zmęczony, jednak pogarda, z jaką odnosił się do Geralda... Tego już za wiele.

- Niech pan się nie martwi, panie Forrester, daję panu słowo, że w żadnym przypadku nie zakłócimy pana spokoju. Nawet jeśli wybuchnie tu pożar, nie będziemy pana nękać.

Nagły błysk w jego oczach ostrzegł ją, że lepiej pozwolić mu odejść, póki to jeszcze możliwe.

Popatrzyła, jak znika w ciemnościach, usłyszała trzask łamanej gałęzi i stłumiony okrzyk bólu.

- Chodź, Geraldzie - powiedziała uspokajającym tonem. - Położymy cię w bezpieczne miejsce, a potem może uda się nam wszystkim trochę przespać.

Po dziesięciu minutach, sprawdzwszy wszystkie klatki i znalazłszy zwiniętą w kłębek Goldie, Thea zgasła światło w stajni, ziewnęła szeroko i poszła do domu.

Poprzez drzewa widziała palące się nadal światło w domku Boba. Było w tym coś pokrzepiającego, po tych długich tygodniach od jego nagłej śmierci, kiedy nikt tam nie mieszkał.

Lubiła Boba. Był nie tylko wspaniałym lekarzem, staromodnym, znającym dobrze ludzi, ale nie obojętny mu był także los zwierząt. Dlatego wydzierżawił jej ten kawałek ziemi.

Ale to nie Bob teraz tu mieszka, pomyślała przygnębiona, a jakiś obcy człowiek. Wróg zwierząt, a na dodatek

tek kłótlivy i zrzedliwy. Zapewne adwokaci Boba postanowili na jakiś czas wynająć dom, zanim nastąpi wykonanie testamentu.

Może Joel Forrester nie zostanie tu długo, pocieszała się, przekręcając gałkę u drzwi, raz i drugi, potem szarpiąc ją i naciskając. Daremnie.

- O, nie! - Nie dowierzając własnym oczom, z przerażeniem patrzyła na drzwi. Nie miała jednak żadnych wątpliwości. Udało się jej tak zamknąć dom, że nie można było do niego wejść, bowiem z obawy przed złodziejami pozamykała na noc wszystkie okna. Miała więc do wyboru stajnię albo starą stodołę, w której brakowało połowy dachu. Czując coraz większy chłód nocnego powietrza, objęła się ramionami. Połowa marca, możliwe przymrozki - znakomita pora na spanie w stodole! Pozostawała jeszcze jedna możliwość, ale czy znajdzie w sobie odwagę?

- No, decyduj się - wymruczała pod nosem. - Albo stodoła, albo pan Przyjemniaczek. W końcu co może ci zrobić? Zastrzeli cię? - Ciężkim krokiem ruszyła przez podwórze. - Lepiej nie podsuwaj mu tego pomysłu. I tak jest niezrównoważony.

Po paru głębokich oddechach zapukała - dokładnie w chwili, gdy zgasło światło. Zapaliło się powtórnie i oślepiło ją, kiedy drzwi się otworzyły.

- Co do...? - Tym razem nie winiła go za lodowaty wyraz twarzy. Nie miał już na sobie marynarki ani krawata i wyraźnie widać było zarost na jego brodzie. - Kim pani jest? Sadystką? - warknął.

- Zatrzasnęłam drzwi od domu - wydusiła.

- Świetny pomysł!



- Proszę... Bardzo przepraszam, nie chciałam panu przeszkadzać, ale... na dworze jest coraz zimniej, a Bob miał zapasowy klucz do mojego domu.

Stał bez ruchu; wstrzymała oddech.

- Często pani to robi?

- Nie, oczywiście, że nie. Nigdy. No, tylko raz - dodała szybko.

Złowieszczo zacisnęła zęby i cofnęła się.

- Lepiej niech pani wejdzie. Pewnie pani nie wie, gdzie jest ten klucz?

- Nie jestem pewna.

Wzdychając ciężko, otworzył szufladę komody i przejrzał jej zawartość.

- Naprawdę przepraszam - powiedziała.

- Niech pani sobie daruje. - Przetarł zaczerwienione oczy. - Miałem ostatnio piekielne dni. Przeleciałem pół świata, nie zdążyłem na samolot, straciłem połowę bagażu i nadziałem się na szaloną kobietę, która wyprawia niestworzone rzeczy. Nie zdziwi pani zapewne, że jak na jeden dzień, to mi wystarczy. - Otworzył kolejną szufladę, przejrzał, zasunął i skrzywił się.

- Może w kredensie? - zasugerowała. - Zdecydowanie mi pan kogoś przypomina - dodała. - Jest pan pewny, że nie spotkaliśmy się kiedyś?

- Droga pani, nie prowadzę aż tak niebezpiecznego życia. Gdybyśmy się spotkali, nie udałoby mi się o tym zapomnieć.

- Zdaję sobie sprawę, że jest pan trochę rozdrażniony, ale proszę mi wierzyć, nie zrobiłam tego celowo. Nie chciałam zatrasnąć zamka ani narazić pana na mandat...

- Niemożliwe - przerwał. - A już myślałem, że to jakaś osobista wendetta.

- Przynajmniej ucieszy pana, że Gerald siedzi bezpiecznie w klatce, a kiedy sprawdzałam pozostałe zwierzęta...

Zamarł w bezruchu.

- Proszę chwilę poczekać. Chcę mieć pewność, że dobrze rozumiem. Mówi pani, że na mojej ziemi jest więcej takich zwierząt?

Gapiła się na niego, czując, jak wysychają jej usta.

- Pana ziemi? Ale to przecież... pan nie... - Tym razem sama, powoli pojmując straszną prawdę, chciała wierzyć, iż jest to senna mara. - Pan nie jest...?

Po raz pierwszy w jego oczach zabłysło rozbawienie.

- Bob Craig był moim wujem.

- Uff! To przynajmniej wyjaśnia, dlaczego wydał mi się pan kimś znajomym. - Zmarszczyła brwi. - Ale myślałam... Pamiętam, że Bob mówił, że ma tylko jednego krewnego, bratanka, lekarza... gdzieś w Kanadzie...

- Spędziłem tam ostatnie dwa lata. Przedtem przez rok pracowałem w organizacji „Lekarze bez granic”. Trochę podróżowałem po świecie.

- Przepraszam, nie wiedziałam...

Wzruszył ramionami.

- Przecież nie mogła pani tego wiedzieć.

- Wiadomo przynajmniej, dlaczego nie można było pana znaleźć.

Ściągnął brwi. Z bliska wyglądał młodziej, niż sądziła. Miał około trzydziestu pięciu lat.

- Wyjechałem na konferencję. Kiedy tylko dotarła do mnie wiadomość, przyjechałem najszybciej, jak mogłem.

Skinęła głową.

- To musiał być dla pana straszny szok. Wszystko stało się tak nagle. Nikt nawet nie wiedział, że Bob ma chore serce. - Mówiła coraz wolniej; informacje o długim locie i wyczerpaniu zaczęły układać się w całość. - Mógł mi pan powiedzieć - dodała z wyrzutem.

- W porę uprzedzona znaczy w porę uzbrojona? - Uniósł brwi. - Nie sądzę. Bóg jeden wie, co taki szatański umysł jak pani mógłby wymyślić. Może zaminowane podwórka? A propos, o- ilu właściwie zwierzętach mówimy?

Zawahała się.

- O niewielu. To znaczy, jest ich trochę, ale wszystkie są nieszkodliwe i obiecuję mieć nad nimi pełną kontrolę. Nie sprawią panu kłopotu.

- Mam nadzieję.

Zadrżała, uświadamiając sobie nagle swój strój i brak ogrzewania w domku. Natychmiast zareagował.

- Klucz - mruknął. - Musi gdzieś tu być.

- Może w kredensie?

Przeciagnał ręką po włosach i ujął kławkę kuchennych drzwi. W mgnieniu oka wyłonił się zza nich ogromny, czarny labrador i chwiejnym krokiem wolno podszedł do Thei, machając ogonem, dopóki nie usiadł na dywanie.

- Wellie! - krzyknęła, przykucnąwszy przy psie. Targała go przyjaźnie za uszy i zaśmiała się, kiedy polizał ją po twarzy. - Wróciłeś. Jak to dobrze znów cię widzieć.

- Rozumiem, że dobrze się znacie?

Zarumieniona, podniosła się i klepała ocierającego się nią psa. Dopiero po dłuższej chwili opanowała się i odrzekła:

- Jesteśmy starymi przyjaciółmi. Brakowało mi go po... po śmierci Boba. Oni chodzili wszędzie razem. Nawet na wizyty, kiedy jechał samochodem.

Joel uśmiechnął się niepewnie.

- Pamiętam. Wellie siedział zawsze obok kierowcy.  
- Poklepał psa. - Bardzo się posunął od czasu, kiedy go widziałem.

- Z pewnością tęskni za Bobem. Jak my wszyscy.  
- Głos jej zadrżał. - Był tu bardzo lubiany.

Joel łagodnie nakazał psu się położyć. Labrador posłusznie ułożył się w swoim koszu i leżał dysząc.

- Zabrali go przyjaciele wuja z sąsiedniej farmy. Zdaje się, że był bardzo smutny, bo uznali, że im szybciej wróci do siebie, tym lepiej. Zatrzymałem się więc po drodze i wzięłem go. - Delikatnie pociągnął aksamitne uszy. - Niezbyt dobrze się czujesz, stary, co? No cóż, starzejesz się trochę.

Thea przykucnęła przy psie.

- Ma co najmniej dziesięć lat. - Umiejętnie przesunęła dłonią po futrze, ale mimo pomruku zadowolenia pies nie próbował wstać. - Ma pan jakieś podejrzenia?

Potrząsnął głową.

- Po prostu przecucie, instynkt. Nie jest sobą, ale jak pani sama powiedziała, zapewne tęskni za Bobem.

Dotknęła klatki piersiowej psa.

- Wydaje się trochę za ciepły. Zjadł coś? - Zaniepokoiła się, widząc przeczący ruch głowy Joela. - Może mieć jakąś infekcję. Ma pan rację, nie jest sobą. Chciałabym go zbadać.

- Pani? Dlaczego? Och, zaraz... chyba nie powie mi

pani, że jest nie tylko chodzącym zagrożeniem, ale i czarownicą?

- Jestem weterynarzem, doktorze Forrester - odpowiedziała z godnością, choć dosyć ostro. - Zna pan Andrew Tylera. Tak się składa, że razem pracujemy i jeśli zechce go pan spytać, z pewnością potwierdzi moje słowa.

Przyjrzał się jej podejrzliwie.

- Wygląda pani na osiemnaście lat.

- Mam dwadzieścia sześć. - Wstała. - Potrzebny mi stetoskop.

Na moment zwięzły mu się oczy

- Tak się składa, że jestem lekarzem, panno Somers. Pożyczę pani. Potrzebuje pani czegoś jeszcze?

- Termometr.

Po chwili wrócił i podał jej oba przedmioty.

- I co? - spytał, kiedy skończyła.

- Ma podwyższoną temperaturę. - Wyprostowała się. - I niezbyt groźną infekcję w klatce piersiowej, stąd apatia i brak apetytu. - Pogłaskała siwiejący pysk psa. - Gdyby był młodszy, nie byłoby problemu, ale w jego wieku... - Utkwione w niej, ciemnoniebieskie oczy Joe-la odebrały jej odwagę. - Cóż, jest pan lekarzem. Nie muszę panu mówić o ryzyku.

- Ale to uleczalne?

- Oczywiście. Leczy się prawie tak samo jak u ludzi, Lekka dieta, ryby lub kurczaki, dużo płynów, odpoczynek i antybiotyki. Mogę kazać dostarczyć je panu z samego rana, zaraz po otwarciu lecznicy. Poza tym może pan przyprowadzić go do nas, żeby Andrew go zbadał.

- Nie - powiedział łagodnie i schował stetoskop do

kieszeni. - Wellie miał ostatnio dość ciężkich przeżyć. Zna panią i lubi. Sensowniej będzie, jeśli to pani będzie go leczyć.

- Naprawdę nie musi pan...

- Niech będzie, jak powiedziałem. - Nagle jego głos znów zabrzmiał twardo. - A teraz, jeśli nie zamierza pani zostać tu na noc, proszę, oto klucz. Idę spać i ostrzegam, że jest tu tylko jedno łóżko, choć, oczywiście, z ogromną przyjemnością podzielę się nim z panią.

Thea roześmiała się.

- Mam nadzieję, że nigdy nie będę aż tak zdesperowana. Daję panu słowo, że nie będę pana więcej niepokoić.

Otworzył drzwi, zdjął z wieszaka marynarkę i narzucił jej na ramiona.

- Nie należy składać obietnic, których nie można dotrzymać. - Wręczył jej latarkę. - Słodkich snów, Theo. Zobaczymy się rano.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Perspektywa posiadania takiego sąsiada jak Joel Forrester nie należała do miłych ani przyjemnych. Pierwszą myślą Thei po obudzeniu było pytanie, jak go unikać, i odpowiedź, że z pewnością nie będzie to łatwe.

Zegar wskazywał, że do rozpoczęcia pracy została jej jeszcze godzina, a już była zdenerwowana. Spojrzała na talerz z rozmoczonymi w mleku płatkami kukurydzianymi i z grymasem obrzydzenia wyrzuciła śniadanie do śmieci. Wiedziała, że musi się opanować. Nie może pozwolić, by obcy człowiek niszczył jej życie.

Wczoraj wieczorem Joel Forrester sprowokował ją rozmyślnie. Wspomnienie jego bezceremonialnej propozycji wciąż przyprawiało ją o wypieki na twarzy. Najgorsze zaś było to, że miała pewność, iż za obojętnym tonem kryła się prawda. Jego ciało wysyłało wyraźne sygnały. Pragnął jej i nie usiłował nawet wyrazić tego subtelnie. Był drapieżnikiem, i to najgorszego typu: pochłaniał kobiety - każdą - i polował na następną.

Zmusiła się, by myśleć o czymś innym. Ma tyle pracy. Ranki w lecznicy są zawsze bardzo wypełnione, a w dodatku dziś Andrew ma wizyty domowe i okresowe szczepienia na farmach.

Najlepiej będzie chyba pójść do Forrestera zaraz po obchodzie schroniska. Im szybciej będzie miała to za

sobą, tym lepiej. Zostawiła Jess w słonecznej kuchni i udała się do starej stajni. Przeglądając klatki stwierdziła, że wczorajsza przygoda nie zaszkodziła Geraldowi.

- I nie musisz być taka zadowolona z siebie - powiedziała rozbawiona, obserwując, jak lisiczka zapamiętała sse butelkę z pokarmem. - Chociaż jest coraz lepiej - mruknęła, głaszcząc złociste futerko. - Jeszcze kilka dni i powinnaś być w stanie sama zadbać o siebie. Może nawet odnajdziesz braci i siostry.

Takiej obietnicy nie mogła jednak złożyć Barneyowi. Sowa złamała skrzydło tak paskudnie, że chyba nigdy nie będzie mogła już latać. Mimo to wyglądała na szczęśliwą i Thea bała się wypuszczać ją na wolność.

- Spij dalej. - Delikatnie pogłaskała jaśniejsze pióra na piersi i roześmiała się, kiedy ptak przekrzywił łeb i popatrzył na nią wielkimi, poważnymi oczami, a potem przymknął powieki i odwrócił się. - Znam to uczucie - powiedziała z uśmiechem. - Po prostu bywają takie dni.

Kończyła właśnie zmieniać ściótkę, kiedy drzwi stajni się otworzyły.

- Wreszcie widzę to, co lubię: ciężką pracę rolniczką - usłyszała przy uchu rozbawiony głos. - Byłem u ciebie, ale drzwi zastałem zamknięte. Zaczynam odnosić wrażenie, że mnie unikasz.

Przemknęło jej przez myśl, że Paul zbyt przyzwyczał się do tego, iż zawsze była pod telefonem lub tam, gdzie postanowił wpaść.

Paul Prescott zjawił się w St Bride ponad rok temu jako asystent Boba i od pewnego czasu on i Thea byli prawie zaręczeni.

Uśmiechnęła się w duchu. Jakoś nigdy o tym nie mó-



wili. Inni zapewne uważali to za dziwne, im jednak było z tym dobrze. Pewnego dnia się pobiorą. Na razie jednak Thea zajmowała się pracą, którą kochała, a Paul, jak to Paul, nawet nie pomyślał jeszcze o kupnie pierścionka.

Byli umówieni na wieczór. Może coś mu wypadło i chce odwołać spotkanie? Była do tego przyzwyczajona, zwłaszcza od śmierci Boba, kiedy Paul musiał przejąć jego obowiązki.

- Nie mów - uśmiechnęła się - że dziś wieczorem nie możesz. - Spojrzała na niego ze zrozumieniem. - Trudno. Tak naprawdę chętnie spędzę spokojny wieczór.

- Nie chcę odwołać naszego spotkania. Po prostu przyjadę po ciebie nieco później. Nie mogę przecież pozwolić, żeby nasz zespół przegrał w strzałki, prawda?

Poczuła się urażona i pomyślała, że sama powinna choć raz mieć inne plany.

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się jednak, strzepując z dzinsów żdźbła słomy. - Jeśli na pewno przyjedziesz.

- Absolutnie. Nigdy nie przepuściłbym okazji zobaczenia twojej uśmiechniętej buzi. To trzyma mnie przy życiu. Och, przy okazji, czy moglibyśmy pojechać twoim samochodem? Mój jest w warsztacie na poważnej operacji. Modlę się, żeby przeżył.

- Paul! - Westchnęła z rozbawieniem, ale i z irytacją. - Kiedy wreszcie zrobisz coś z tym gratem?

- Kiedy będę bogaty. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował w czubek nosa. - Wtedy kupię mercedesa.

- Jesteś niepoprawny.

- Wiem - zaśmiał się - ale dzięki temu jestem wspa-  
niały i kocham cię.

- Słuchaj, Paul, mam jeszcze wizytę przed pójściem do

pracy. - Nie miała ochoty na przekomarzanie się. - Skoro już o tym mowa, czy nie jesteś trochę spóźniony? Myślałam, że przyjmujesz pacjentów od dziewiątej.

- Zaraz idę. I tak nie uciekną.

Wysoki, przystojny, z błyskiem słońca w jasnych włosach - podobał się jej, ale w wieku trzydziestu lat wciąż był tak niefrasobliwy, że czasami zastanawiała się, czy kiedykolwiek dorośnie.

Spojrzała w kierunku sąsiedniego domu i z rezygnacją sięgnęła po torbę.

- Muszę teraz obejrzyć Wellie'ego, starego labradora Boba. Nie najlepiej się czuje.

- Pójdę z tobą, to po drodze. - Szedł obok niej długimi krokami. - Myślałem, że dopóki nie wróci jakiś daleki krewny Boba, pies będzie u Wallisów.

- Właśnie wrócił. Wczoraj.

- Lepiej późno niż wcale. Przyjechał zgarnąć resztki? Nie ma to jak spóźnić się na pogrzeb, co? Jaki on jest?

Zignorowała jego drwiny.

- Nie wiem, ale przypuszczam, że w pracy może okazać się tyranem. Zrozumiałam, że ostatnie lata spędził za granicą. W chwili śmierci Boba był na jakimś zjeździe i nie powiadomiono go w porę, ale zjawił się tu najszybciej, jak mógł.

Paul obrzucił ją długim spojrzeniem.

- Nie traciłaś czasu, żeby go poznać, skoro przyjechał dopiero wczoraj.

Poczuła, jak rumieniec wypływa jej na policzki.

- Poznałam go przypadkiem. - Parsknęła śmiechem. - To było dość zabawne. Zatrzasnęłam drzwi od domu i miałam w perspektywie spędzenie nocy w stajni; wte-

dy przypomniałam sobie nagle, że Bob miał zapasowy klucz.

- To bardzo sprzyjająca okoliczność.

- Prawda? - westchnęła, udając, że nie dosłyszała ironii w jego głosie. - Muszę dorobić jeszcze jeden. Chyba nie mogę liczyć więcej na jego pomoc. Nie wygląda na kogoś, kto siedzi w jednym miejscu zbyt długo.

Wygląda raczej na niespokojnego ducha, który wciąż gdzieś gna i na którego wszędzie czekają kobiety, dodała w myślach.

- Więc po co tam teraz idziesz?

- Mówiłam ci. Wellie...

- Dlaczego nie przyjdzie z psem do lecznicy?

Jego obojętność wobec psa była niemiłym zgrzytem, ale uznała, że jest przewrażliwiona, i to z powodu Joela.

- Wellie źle się czuje i nie chcę, żeby ruszał się więcej, niż jest to absolutnie niezbędne. Poza tym zna mnie i sensowne jest, żebym to ja go leczyła.

Doszli do bramy ogrodzenia. Na ich widok Joel wyprostował się. Spłowiałe dzinsy opinały jego uda niczym druga skóra. Rozpięta koszula pozwalała dostrzec błyszczące od potu ciało.

Niedbale wbił łopatę w ziemię i podszedł do nich. Nadal wyglądał na zmęczonego, ale się ogolił; zdecydowanie zarysowana broda i twarde rysy były jakby nieco inne, jeszcze bardziej niebezpieczne i... atrakcyjne.

Zanim spojrział na nią, przesunął zimnym spojrzeniem po Paulu.

- Nie byłem pewny, o której pani przyjdzie.

- Wolę to załatwić przed pracą. Bałam się, czy nie będzie za wcześnie.

- Tylko coś wyjątkowego zatrzymałoby mnie w łóżku. - Jego oczy błysnęły. - Ale przecież pani nie zna mnie aż tak dobrze, prawda, panno Somers?

Był nie do zniesienia, jednak puściła zaczepkę mimo uszu.

- Paul, chyba nie poznałeś jeszcze doktora Forrestera. Doktor Forrester, Paul Prescott. Paul pracował z Bobem przez ostatni rok.

- Rzeczywiście? - Joel wyciągnął opaloną rękę i uścisnął dłoń Paula.

- Od śmierci pańskiego wuja Paul sam jeden bronił fortu.

- Naprawdę? - Usta Joela zacisnęły się, gdy patrzył na Paula. - To zabawne, bo miałem wrażenie, że wuj zawsze zaczynał przyjmować punktualnie o dziewiątej. To staromodne, ale uważałem, że skoro pacjenci mogą zdążyć na czas, winien jest im taką samą uprzejmość. Ale może wprowadził pan jakieś zmiany?

- Nie. - Paul poczuł się nieswojo. - Po prostu jestem trochę spóźniony...

- W takim razie nie zatrzymujemy pana - powiedział Joel uprzejmie. - Przy okazji, przyjdę później do przychodni. Po prostu rozejrzeć się, poznać wyposażenie. Minęło trochę czasu, od kiedy widziałem je ostatnio.

- Eee... Rozejrzeć się? - wydukał Paul.

- Tak. Nie spodziewał się pan tego? - Joel uniósł brwi. - Zanim przejmę praktykę, musimy omówić parę spraw.

Na twarzy Paula wypisane było niedowierzanie.

- Przejąć praktykę? Ale sądziłem...

- Tak. - Joel postanowił wyjaśnić sprawę do końca.  
- Jest tu za dużo pracy dla jednego lekarza. Mój wuj zawsze życzył sobie, żebym przejął praktykę, kiedy przejdzie na emeryturę. Myślałem, że powiedział panu o tym. - Zmrużył powieki. - Miałem naturalnie nadzieję, że będzie długo cieszył się emeryturą. To smutne, że stało się inaczej, tym niemniej zamierzam dotrzymać obietnicy. Proponuję, żeby zarezerwował pan czas na rozmowę, powiedzmy, po rannych przyjęciach.

- Dzisiaj?

- Zrób dziś, co masz zrobić jutro, jak mówi przysłowie.

Paul zacisnął usta, spojrzał na Theę i odszedł.

- Czy to naprawdę było konieczne? - spytała z oburzeniem. - Musiał pan być aż tak bezwzględny?

- Wołałaby pani, żebym po prostu zjawił się w przychodni?

- Może to byłoby bardziej uprzejme - odparła gwałtownie - niż traktowanie go... z góry. Dawał z siebie wszystko po śmierci Boba i pański przyjazd musi być dla niego szokiem. A zwłaszcza sposób, w jaki go pan przywitał. Chyba poczuł się trochę poniżony.

- Nie odpowiadam za... uczucia pani adoratora, panno Somers. - Spojrzał na nią przenikliwie. - Bo to jest chyba pani chłopak? - Nie dał jej dojść do słowa, mimo że otworzyła już usta. - Jestem tu i im szybciej wszyscy się do tego przyzwyczają, tym lepiej. - Otworzył drzwi.  
- Proszę wejść.

Weszli do wielkiej kuchni, na środku której stał duży, sosnowy stół.

- Miałem właśnie zamiar napić się kawy. - Zdjął

z półki porcelanowe filiżanki i sięgnął po dzbanek. - Nalać pani?

- Pijam herbatę.

- Nauczyłem się pić kawę za granicą.

Pachniała wspaniale, a Thea nie jadła śniadania.

- No dobrze, proszę.

- Niech pani siada. - Podał jej filiżankę. - Piję czarną, ale jest cukier i mleko. Nie jadam śniadań, ale jeśli pani...

- Nie, dziękuję. - Wstała, czując, że rumieni się pod jego badawczym spojrzeniem. - Obawiam się, że nie mam czasu na towarzyskie pogawędki. Może lepiej rzucę okiem na Wellie'ego. Jak on się czuje?

- Kiedy ostatnio u niego byłem, spał. Przesunąłem jego kosz przed kominek.

Zaprowadził ją do psa, leżącego nadal w koszu. Wellie nie spał, ale nie poruszył się, by ją przywitać, kiedy uklękła obok niego.

- Cześć, staruszk. Jak się dziś czujesz? - Profesjonalnym okiem dostrzegła ospałość psa i zagryzła wargi. - Mhm, z pewnością nie jest lepiej. Właściwie jest gorzej.

- Tego się obawiałem. - Joel przykucnął obok niej.

Z bliska wydawał się nadal bardzo zmęczony. Zobaczyła rozrzucone poduszki na fotelu i pustą szklanę na stojącym nie opodal stoliczku.

- Czy w nocy w ogóle pan spał?

- Niewiele. - W jego oczach błysnęło na moment rozbawienie. - Wellie był niespokojny. Siedziałem przy nim.

- Musi pan być wyczerpany.

- Do życia wystarcza mi niewielka ilość snu.

Chyba mówił prawdę. Było w nim coś, co przypominało jej dzikie zwierzę. Sięgnęła po torbę.

- Lepiej go zbadam.

Pies nie protestował. Po skończonym badaniu Thea wyprostowała się.

- No i?

- Obawiam się, że niedobrze. Ale to, jak sądzę, pan wie.

- Potrafię się domyślić. I co dalej?

- Przyniosłam antybiotyki. Proszę podać mu od razu.

I nie powinien biegać, choć nie podejrzewam, żeby miał na to ochotę. - Zamknęła dokładnie torbę. - Za parę dni przyjdę go zobaczyć. - Skierowała się do drzwi. - Jeśli coś pana zaniepokoi, proszę przyjść do lecznicy albo mnie zawiadomić.

- Jestem pani wdzięczny...

- To moja praca.

- Mimo to. - Położył rękę na jej ramieniu. - Niezbyt udał się nam wczoraj początek znajomości.

Thea uśmiechnęła się nieznacznie.

- To bardzo łagodnie powiedziane.

Odprowadził ją do bramy. Na dworze dawało się odczuć zapowiedź wiosny i Thea nie mogła się oprzeć, by nie przystanąć i odetchnąć głęboko.

- Ta pora roku zawsze przypomina mi Boba - powiedziała cicho. - Uwielbiał taką pogodę, godzinami spacerował wtedy z Wellim. - Zamilkła na chwilę. - Byli sobie bardzo bliscy. Może Wellie po prostu nie chce już żyć?

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Wierzy pani w to?

Wzruszyła ramionami.

- Spotkałam się z tym. Starzy ludzie bardzo przywiązują się do swoich ulubieńców, i odwrotnie. Jest pan lekarzem, więc musiał pan o tym słyszeć.

- Owszem, zgadzam się z panią.

- Pan?

- Bardzo ceniła pani mojego wuja, prawda?

- Był dobrym przyjacielem. Brakuje mi go. Wszystkim go brakuje. - Odgarnęła kosmyk włosów z twarzy i spojrzała na Joela. - Bob Craig był nie tylko dobrym lekarzem. Ludzie nie byli dla niego wyłącznie pacjentami. Wszystkich znał osobiście, z imienia i nazwiska.

- Jeśli chce mi pani powiedzieć, że trudno go będzie zastąpić, to wiem o tym - powiedział miękko.

Przyglądała się jego twarzy. Regularne rysy, zmysłowe usta... Szybko odwróciła wzrok.

- Nie miałam zamiaru wystawiać cenzurek, panie doktorze. - Nacisnęła klamkę bramy i nagle poczuła na dłoni jego rękę.

- Mam na imię Joel. Pozwól mi otworzyć. - W jego oczach znowu błysnęło rozbawienie. - Skoro mamy być sąsiadami, możemy chyba zrezygnować z etykiety, prawda?

- A więc mówiłeś poważnie? Chcesz przejąć praktykę?

- Nie był to nagły pomysł, jeśli to miałaś na myśli. - Zachmurzył się. - Obiecałem to wujowi.

Skinęła głową.

- Rozumiem - powiedziała po chwili. - Kiedy... masz zamiar zacząć?



- Chyba im wcześniej, tyra lepiej, nie sądzisz? Zważywszy na okoliczności.

Zarumieniła się lekko.

- Paul dawał z siebie wszystko - oświadczyła gwałtownie. - Nie było mu łatwo, zwłaszcza że nadal uważany jest tutaj za nowego. - Zagryzła wargi. - Miał chyba nadzieję, że pewnego dnia Bob jemu przekaże praktykę. W ostatnim roku Bobowi było trudniej pracować. Nie przyznałby się, oczywiście, do tego, ale ja wiem, że uważał nocne dyżury i nagłe wezwania za dość męczące. Łatwiej mu było, mając pod ręką Paula.

- Podziwiam twoją lojalność - skrzywił się lekko Joel - nawet jeśli jest nieco na wyrost.

- Jesteś niesprawiedliwy. - Odwróciła się i zderzyła z nim. Wstrzymała oddech, a kiedy objął ją, by nie straciła równowagi, i przyciągnął na tyle blisko, że poczuła jego zapach, rozchyliła usta i wciągnęła głęboko powietrze.

Jego wargi były prawie przy jej twarzy. Zaskoczona otworzyła szeroko oczy, kiedy obwiodł palcem zarys jej policzka i pochyliwszy się, pocałował w usta. Zastygła, zdumiona siłą własnych doznań. Te ciemnoniebieskie oczy mają rzeczywiście niewiarygodny odcień. I jakie gęste rzęsy... Nagle wyrwała mu się z objąć. O czym ona, do diabła, myśli? Przecież go nawet nie lubi. Gorzej, nie ufa mu.

- Jak śmiesz? - Odsunęła się zdecydowanie.

- Po sąsiedzku. - Oczy mu błyszczały.

- Po sąsiedzku! Niektórzy nazwaliby to napastowaniem, doktorze Forrester. - Przycisnęła do boku torbę i szybko ruszyła w stronę lecznicy.

Dobiegł ją dziwny dźwięk - może to Joel parsknął śmiechem? Nie odwróciła się, by sprawdzić. Tacy mężczyźni jak on to niespokojne duchy. Dziś tu, jutro tam. Nie, dzięki, wolała swoje życie. Spokojne, nieskomplikowane i całkowicie przewidywalne.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Dochodzący z poczekalni gwar, przerywany niekiedy szczekaniem, był zapowiedzią pracowitego poranka.

- Cześć! - Karen z recepcji przywitała ją pogodnie.  
- Jak weekend? Dzień dobry, pani Duncan, proszę usiąść. Pan Tyler zaraz panią przyjmie.

- Spokojny, ale miły. - Thea zaczęła przeglądać pocztę.

Otworzyły się wewnętrzne drzwi i Andrew, ubrany w dzinsy i gruby sweter, podszedł do biurka po karty.

- Witaj, Theo. Miałaś przyjemny weekend?

Czterdzieści osiem godzin unikania nowego sąsiada było straszliwie męczące, zwłaszcza że wystarczyło wyjść za próg, by zobaczyć go a to przy kopaniu ogrodu, a to strzyżeniu żywopłotu.

- O tak, dziękuję. - Uśmiechnęła się sztucznie i sięgnęła po listę oczekujących. - Wszyscy do mnie?

- Co do jednego - roześmiała się Karen. - W poczekalni jest jak na dworcu podczas wakacji, ale nic poważnego, jak sądzę.

- Odpukaj w nie malowane. - Tym razem uśmiech Thei był szczerzy. Wziąwszy karty, poszła za Andrew do gabinetu.

- Jak ci minął weekend?

- Jak zwykle. Za dużo roboty i za mało czasu.

- Rozumiem - powiedziała ze współczuciem i przysiadła na brzegu wysłużonego biurka. - Miałeś wiele wezwań?

- Parę. Dzięki Bogu nic drastycznego.

- Co z krową Jacka Dawsona?

- Chyba wyjdzie z tego. Inne krowy, jak się wydaje, nie zjadły trucizny. Jack z żoną przeżywali ostatnio trudny okres, kiedy po śmierci jego ojca zaczęli sami prowadzić gospodarstwo. Gdyby stracili stado, to byłaby tragedia.

Kiwnęła głową ze zrozumieniem i wstała.

- Lepiej już pójdę.

- Wiesz, że wrócił bratanek Boba?

Znieruchomiała na moment.

- Tak. Eee... Słuchaj, przepraszam, powinnam była ci powiedzieć. Był tu w piątek, zaraz po twoim wyjściu, ale nie zostawił żadnej wiadomości.

- Nie przejmuj się. - Andrew roześmiał się. - Odwiedził mnie w domu. Spędziliśmy weekend na wspomnianiu dobrych, starych czasów.

- Ty... znasz go dość dobrze?

- Można tak powiedzieć. Znamy się od dawna. Właściwie razem dorastaliśmy: spędzał u Boba wszystkie wakacje.

- A rodzice odpoczywali wtedy od niego, co? - spytała z chłodną uprzejmością.

Andrew spochmurniał.

- Zginęli w wypadku samochodowym. Miał wtedy dwanaście lat. Pamiętam, że wędrował po różnych krewnych, ale większość wakacji spędzał z Bobem. - Uśmiechnął się blado. - Cudownie było mieć kumpla mniej

więcej w tym samym wieku. Wszędzie łąziliśmy razem, dopóki nasze drogi się nie rozeszły: moja na weterynarię, a jego na medycynę.

Thea spróbowała wyobrazić sobie ciemnowłosego chłopca, który w wieku, kiedy dzieci są najbardziej wrażliwe, nie tylko stracił rodziców, ale był przerzucany od jednego krewnego do drugiego. Bardzo smutne musi być takie dzieciństwo.

- Na pewno - powiedziała.

- Chciałem ci go przedstawić - Andrew spojrział na nią z zastanowieniem - ale chyba zdążyliście się poznać.

- Jeśli skarżył się na mnie... - zaczęła, rumieniąc się z oburzenia.

- Skarżył? Skąd ci to przyszło do głowy?

Chrząknęła niepewnie.

- Cóż...

- Wręcz przeciwnie. - Andrew uśmiechnął się. - Był pod wrażeniem. Upiera się, żebyś to ty leczyła psa.

Zacisnęła zęby; jego uporu mogła być pewna.

- No cóż, obowiązki wzywają. Może zobaczymy się później.

- Aha, przypomniałem sobie. - Znowu zatrzymał ją jego głos. - Wkrótce obchodzimy z Joanną dziesiątą rocznicę ślubu. Joannę organizuje przyjęcie i rozkazała mi upewnić się, że na nim będziesz. Paul jest też zaproszony, oczywiście. Nic oficjalnego - coś do zjedzenia, wypicia, i paru bliskich przyjaciół.

- Wiesz, że nie opuszczamy takich okazji. Powiedz Joannę, że z przyjemnością przyjdziemy. - Uśmiechnęła się i poszła do swego gabinetu.

Po wyjściu ostatniego pacjenta poczuła ból głowy i z trudem koncentrowała się na uzupełnieniu karty, by po chwili zauważyć, że jej myśli i tak wędrują gdzie indziej.

Od pierwszej chwili, gdy się tu trzy lata temu zjawiła, zakochała się w tej wyspie i francusko-angielskiej mieszance jej życzliwych mieszkańców. Przede wszystkim jednak zawsze kochała swą pracę; była dumna ze swych umiejętności i faktu, że dobrze radzi sobie ze zwierzętami. Jej życie do tej pory przebiegało bez szczególnych wydarzeń. To absurdalne, że Joel Forrester wyprowadza ją aż tak z równowagi. Ja, taką spokojną i opanowaną. Zmusiła się w końcu do wypełnienia ostatniej karty i zabroniła sobie myślenia o Joelu. Myła ręce, kiedy weszła Sandra.

- Jak ten ranek szybko zleciał. Jeszcze ktoś do mnie? - spytała, sięgając po ręcznik.

- Nie. Było jedno wezwanie, ale Andrew skończył przyjmować wcześniej, więc pojechał tam. Do Toma Danby'ego w Rosel. Wygląda na to, że jedna ze świń ma zapalenie jelit. Och, byłabym zapomniała. Jakieś dziesięć minut temu dzwonił Paul. Byłaś zajęta, więc przekazał mi wiadomość. Chce się spotkać z tobą na lunchu w Lobster Pot.

- Och, nie! - Westchnęła z lekkim przerażeniem. - Myślałam, że zamiast jeść, odwalę trochę papierkowej roboty.

- Przepraszam, czy źle zrobiłam?

- Nie, dobrze. - Thea ze słabym uśmiechem zgarnęła do torby plik papierów. - Będę musiała przejrzeć je wieczorem, skoro teraz mam wyjść. W razie potrzeby wiesz, gdzie mnie szukać.

Na dworze wyraźnie się ochłodziło i z przyjemnością znalazła się w ciepłym wnętrzu pubu. Było zatłoczone mieszkańcami i nielicznymi o tej porze roku turystami. W ogromnym, kamiennym kominku płonął ogień. Szybko znalazła Paula, który wstał i pomachał do niej ręką.

- Już myślałem, że nie przyjdiesz. - Pocałował ją.

- Przepraszam za spóźnienie. - Uśmiechnęła się do niego ciepło. Pomógł jej zdjąć żakiet. Wśliznęła się na sąsiednie krzesło i odgarnęła rozwiane wiatrem włosy.

- Miałam strasznie dużo pracy.

- Teraz jesteś tu, i tylko to się liczy. Zamówiłem ci już dzin z tonikiem. Co zjemy?

Przebiegła wzrokiem menu, szukając czegoś lekkiego, i zdecydowała się na kanapkę z kurczakiem. Rzadko wychodziła na lunch, ale na pewno nie zamówiłaby sobie dzinu z tonikiem, mając w perspektywie pracowite popołudnie. Zaczęła go jednak sączyć, a Paul udał się do baru, by ponownie napełnić swą szklanekę.

Jedzenie przyniesiono im szybko.

- Mmm, dobre było. - Thea odchyliła się w krzesło, czując sytość i ciepło. - Nie wiedziałam, że byłam taka głodna.

- Powinniśmy robić to częściej. - Paul objął ją ramieniem w talii.

- Wystarczy czasami. - Uśmiechnęła się sennie. - Kilka takich lunchów, a będę musiała przejść na dietę.

- Nonsens. - Pochylił się do jej ucha i szepnął: - Twoja figura jest bez zarzutu. Masz na to moje słowo. Jestem lekarzem, więc wiem.

Stłumiła ziewnięcie.

- Jeśli posiedzę tu dłużej, zasnę.

- Postaram się nie obudzić cię.

- Wariat! - Popchnęła go delikatnie. - Niektórzy muszą jeszcze pracować. A propos pracy. - Spoważniała. - Jak ci idzie z Forresterem?

- Mógłbym się obejść bez Jego Wysokości. Zagląda mi przez ramię przy każdym ruchu. A poza tym - dodał z goryczą - wszystko dobrze.

Popatrzyła na niego zmartwiona.

- Więc on naprawdę chce przejąć praktykę po Bobie?

- Aha. Zjawił się rano we własnej osobie i zaczął przyjmować. Musiał wpaść podczas weekendu i wyjął karty wszystkich pacjentów Boba. Sądzę, że jako szef będzie tyranem.

Nie ukrywana niechęć Paula lekko ją zaskoczyła, mimo że mógł mieć rację. Joel Forrester nie robił wrażenia człowieka, który pozwoliłby podrywać swój autorytet.

- Jestem przekonana, że Bob chciał powiedzieć ci o swoich planach. Nic ci nie mówił?

Paul wzruszył ramionami, ale nie dała się zwieść temu gestowi. Widziała, że jest wzburzony, a to było do niego niepodobne. Zwykle niczym się nie przejmował.

- Znasz Boba. - Bawił się szklanką, przesuwając ją wzdłuż stolika. - Mówił o wielu rzeczach: łowieniu ryb, spacerach, ogrodzie. O tym, co będzie robił na emeryturze. Zawsze jednak odkładał to na później. - Przeczesał ręką włosy. - Wiedziałem, że ma bratanka, który ma coś wspólnego z medycyną, ale, prawdę mówiąc, nie przywiązywałem do tego wagi. To znaczy, nigdy go tu nie było i nie myślałem, że kiedykolwiek go spotkam. - Zaciśnął pięści. - Nie mogę w to uwierzyć. Po tym wszystkim, co tu zrobiłem...



Thea wzięła go za rękę.

- Spójrz na to z jaśniejszej strony - poprosiła miękko. - Przynajmniej nie musisz teraz pracować za dwóch.

- Wolałbym to - mruknął gderliwie. - Ten cholerny Forrester już teraz mówi o zreorganizowaniu kartoteki i wieczornych dyżurach.

Thea mimowolnie roześmiała się.

- Z tego, co wiem o kartotece Boba, drobna reorganizacja by jej nie zaszkodziła. A jeśli chodzi o wieczorne dyżury... - Uśmiech zniknął jej z twarzy. - Niektórym najłatwiej przyjść do lekarza właśnie wieczorem...

- Po czyjej ty właściwie jesteś stronie?

- Oj, Paul, tu nie chodzi o stawanie po czyjejs stronie. Po prostu myślę, że może powinienes spróbować. Poza tym wiesz, co mówią o nowych miotłach. Niełatwo być następcą Boba. Może on chce coś udowodnić.

Dlaczego, na Boga, go bronię, pomyślała, przecież nawet go nie lubię.

Paul nagle przyciągnął ją do siebie i pocałował w czoło.

- Masz rację. Jestem nudziarzem.

- Nie powiedziałam tego.

- Nie musiałaś. - Pieszczotliwie pogłaskał jej policzek, a potem spojrzął na zegarek i zaniepokoił się. - Chyba pora już na mnie.

W chwilę potem byli już na parkingu.

Paul objął ją na pożegnanie.

- Dziękuję za lunch - powiedziała. - Było bardzo miło.

- Mnie też. Zadzwoń wieczorem. - Usta Paula dotknęły jej warg. To był przyjemny pocałunek, nie żąda-

jacy niczego, nie poruszający ziemi w posadach. Bezpieczny, taki jak lubiła.

- Nie znoszę przeszkadzać - dobiegł ją z tyłu głęboki głos i odwróciwszy się, zamarła na widok Joela. Stał przy samochodzie i uśmiechał się ironicznie. - Byłem u pani w pracy. Powiedziano mi, że zapewne zastanę panią tutaj.

- Był pan u mnie? - Urwała i nagle na jej twarzy pojawiło się przerażenie. - Coś z psem? Pogorszyło się?

- Z psem w porządku. - Joel przeniósł wzrok na Paula i spochmurniał na moment. - Proszę mnie poprawić, jeśli się mylę, ale czy nie powinien pan być teraz w przychodni, panie Prescott?

Paul spojrział na Theę.

- Tak, powinienem już jechać. Porozmawiamy później.

Thea ledwo zauważyła jego odejście, próbując jak najszybciej dotrzeć do swego auta. Na drodze stanął jej jednak Joel. Spojrzała na niego i znowu zabrakło jej tchu. Nawet w dżinsach robił na niej wrażenie, a teraz, w ciemnym garniturze, wyglądał po prostu wspaniale. Odwróciła wzrok.

- Przepraszam, ale naprawdę nie mam czasu na pogawędki, doktorze. - Zaczęła wkładać żakiet i z zakłopotaniem poczuła, że trzęsą się jej ręce. Nie mogła trafić w otwór rękawa.

- Pomogę ci, pozwól.

Przebiegł ją dreszcz. Joel stał tak blisko, że widziała pory jego skóry i czuła subtelny zapach kosztownej wody po goleniu. Odniosła wrażenie, że przepływa przez nią fala czegoś, co niesłychanie przypomina podniecę-

nie. Niezależnie od tego, jak bardzo irytowała ją arogancja Joela, nie mogła zaprzeczyć, że coś jej się w nim podoba.

- Theo, zaczekaj. Przecież nie gryzę. Po prostu potrzebuję twojej pomocy. Zostałem wezwany do pacjenta i byłbym ci wdzięczny, gdybyś pojechała ze mną.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Pojechała z tobą? - powtórzyła z niedowierzaniem i parsknęła śmiechem. - Przypominam ci, że jestem weterynarzem, a nie lekarzem. Być może to subtelna różnica, ale podejrzewam, że pacjenci mogliby ją zauważyć.

Uśmiechnął się chłodno.

- Muszę pojechać do Grouville, do starej pani Pemberton. Upadła i nie może się ruszyć. Sąsiadka zawiadomiła nas o tym telefonicznie.

- Maggie upadła? Och, nie! Coś jej się stało?

- Znasz ją? - spytał ze zdziwieniem.

- Tak. - Spochmurniała. - Niezbyt dobrze, jak chyba wszyscy. Jest trochę ekscentryczna, starzeje się już i mieszka sama. - Spojrzała na niego zaniepokojona. - Na ile to jest poważne?

- Trudno powiedzieć. Zapewne będę musiał wysłać ją do szpitala, dlatego potrzebuję twojej pomocy.

- Nadal nie rozumiem...

- Skoro ją znasz, wiesz, jak żyje. Byłem tam kiedyś jako dziecko, Bob zabrał mnie ze sobą. Sama powiedziałaś, że Maggie jest ekscentryczką. Zawsze miała z tuzin lub więcej kotów, nie mówiąc o jakimś psie przybłądzie. Nie sądzę, żeby coś się zmieniło.

Uśmiechnęła się blado.

- Zapomniałeś o ośle.
- Osioł? - Spojrzał na nią z rozbawieniem.
- Dostała go czy uratowała, tego nikt nie wie. Ale trzyma go na łące razem z kozłem.

- Nie można ich zostawić samym sobie. - Joel zasępił się. - Mamy dwie możliwości: albo zabrać zwierzęta i zapewnić im opiekę, albo je uśpić.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Nie mówisz tego poważnie?
- Masz lepszy pomysł? Ja jestem odpowiedzialny za pacjenta. Znam Maggie Pemberton na tyle dobrze, że wiem, iż nie zostawi zwierząt samych. Ktoś musi ją przekonać. - Spojrzał na nią z powagą. - Tobie może się udać. Ona cię zna i ufa ci.

Wciągnęła głęboko powietrze i skinęła głową.

- Dobrze, pojedę.
- Dziękuję. Weźmiemy mój samochód.
- Zastanowiłeś się przez chwilę nad tym, co konkretnie zrobimy z tą... małą menażerią? - spytała, sadowiac się na siedzeniu obok niego.

Joel spojrzał przed siebie i roześmiał się.

- Miałem nadzieję, że to ty odpowiesz na to pytanie.

Obrzuciła go karcącym spojrzeniem i westchnęła z rezygnacją. Dziesięć minut później dojeżdżali już na miejsce.

Drzwi otworzyły się, nim do nich doszli.

- Jest tam - poinformowała ich zaniepokojona kobieta w średnim wieku. Poprowadziła ich przez mroczną sień do salonu. Na podłodze, przed kanapą, leżała Meggie Pemberton; miała zamknięte oczy, a jej ogorzała, poryta zmarszczkami twarz była ściągnięta bólem.

Siedemdziesięciopięcioletnia Maggie ciężko pracowała przez całe życie i nawet zimowe chłody nie skłaniały jej do odpoczynku. Nawet teraz, mimo ognia płonącego w starym żelaznym piecyku, trudno było nazwać jej mały domek przytulnym.

- Przyszłam kupić parę jaj i znalazłam ją na podłodze - wyjaśniła kobieta. - Jestem Val Redmont. To ja dzwoniłam. Nie ruszałam jej, tylko przykryłam kocem...

Joel uśmiechnął się łagodnie.

- Zachowała się pani bardzo rozsądnie. - Spokojnie ukląkł przy starszej kobiecie, by ją zbadać.

- Maggie, słyszy mnie pani? Jestem Joel. Joel Forrester. Nie, proszę się nie ruszać. - Kiedy otworzyła oczy, pogłaskał ją z uśmiechem po rękę. - Wszystko będzie dobrze. Muszę tylko stwierdzić, czy coś się stało.

Staruszka jęknęła z bólu.

- Moja noga - powiedziała słabo - i klatka piersiowa. - Przesunęła drżącą, wątłą dłoń w kierunku żeber. - Poczułam zawrót głowy, a potem pamiętam już tylko to, że leżę na ziemi. Próbowałam wstać, ale bardzo boli.

Nic nie można było wyczytać z twarzy Joela, kiedy z niezwykłą delikatnością badał ją silnymi dłońmi. W końcu wstał.

- Podejrzewam, że ma pani pęknięte żebro, trzeba jednak zrobić prześwietlenie. Przez jakiś czas będzie też pani miała na tej nodze paskudne siniaki, ale na szczęście nie jest złamana. Mimo to powinna pani pojechać do szpitala.

W oczach Maggie pojawiły się łzy.

- Nie mogę zostawić gospodarstwa. Kto zajmie się zwierzętami? Potrzebują mnie.

- Coś wymyślimy - powiedział Joel miękko. - To nie potrwa długo. Poza tym - spojrzał z uśmiechem w stronę Thei - właśnie po to przywiozłem tu pannę Somers. Znacie się, prawda? Jest ekspertem od zwierząt i zajmie się nimi. A teraz zrobię pani zastrzyk znieczulający, żebyśmy mogli panią przenieść i dokładniej zbadać.

Nieznacznym ruchem głowy wskazał Thei kuchnię.

- Zrobię herbatę - wydusiła i skierowała się do drzwi.

- Dobrze byłoby, gdybyś zadzwoniła też po karetkę - powiedział cicho, dołączając do niej pod pretekstem przyniesienia swej torby lekarskiej.

- Martwisz się o nią, prawda? - szepnęła.

Ściągnął brwi.

- Jest wątpła i nie wiadomo, jak długo leżała. Ponadto wystarczy na nią spojrzeć, żeby wiedzieć, że jest źle odżywiona. Podejrzewam, że zaczyna się zapalenie płuc.

- Rozejrzył się po malutkiej, staromodnej kuchni. - Może się okazać, że dzisiejszy incydent to szczęście w nieszczęściu. To znaczy, niedobrze, że upadła, ale inaczej byśmy tu nie przyszli, a wtedy nie dawałbym jej wielkich szans na zobaczenie kolejnej wiosny... - Urwał.

- Słuchaj, zapomnij o herbacie. Lepiej może rozejrzyj się tu szybko i zobacz, co się da zrobić.

Skinęła głową.

- Zaraz zadzwonię po karetkę.

- Thea? - Odwróciwszy się w drzwiach, prawie wpadła na niego. Popatrzył na nią przeciągle i delikatnie przesunął wargami po jej zdziwionych ustach. - Chciałem ci podziękować.

Ostrożnie, upomniała się stanowczo, pędząc bez tchu na podwórko. Z przyjemnością wystawiła twarz na chłodny wiatr, by ostudził jej pałające policzki. Pamiętała, że nie jest w twoim typie, a poza tym cóż znaczy jeden pocałunek? Był wdzięczny, po prostu wdzięczny, więc nie próbuj rozumieć tego inaczej.

Zrobiła szybki rekonesans i wróciła do domku. Joel siedział na kanapie i trzymał Maggie za rękę.

- Nie muszę jechać do szpitala, prawda? Nie chcę tam jechać.

- Tak będzie najlepiej - doradzał łagodnie Joel. - A jeśli zebro jest naprawdę pęknięte, to jak da sobie pani tu radę?

- Ale ja nigdy nie byłam poza domem, nawet za życia George'a. - Żyłasta ręka kobiety pieściła kota leżącego na jej kolanach, podczas gdy drugi obserwował to z krzesła. W jej oczach znów pojawiły się łzy. - Nie chcę szpitala. Jakoś sobie poradzę...

- Nie musi pani martwić się o zwierzęta - powiedziała Thea i usiadła przy niej. - Zabiorę koty do schroniska. Obiecuję, że będę opiekować się nimi jak własnymi. Jestem też pewna, że pani Redmont nakarmi pani kury.

- Oczywiście - zapewniła z uśmiechem sąsiadka. - O osła niech pani też będzie spokojna. Nasz Jack zajmie się nim z przyjemnością. Zawsze chciał mieć własnego...

- To dobry dzieciak. Och, mój Boże. - Na dźwięk syreny Maggie spojrzała z lękiem w stronę okna. - To karetka.

Joel wstał.



- Wszystko będzie dobrze, Maggie. I wszystko będzie czekało na pani powrót. Pani zadaniem jest tylko poczuć się lepiej, a ja zrobię, co tylko możliwe, żeby tak się stało.

On mówi prawdę, a co ważniejsze Maggie mu wierzy, oceniła Thea. Pacjentów, zarówno ludzi jak i zwierząt, nie jest łatwo oszukać. Instynktownie wiedzą, kiedy ich się okłamuje albo traktuje protekcjonalnie.

Dopiero po godzinie dojechali do schroniska. Kiedy przynosili oburzone koty z pudełek do klatek, Thea - całkiem irracjonalnie - poczuła pod powiekami łzy. Zamknęła oczy, ale natychmiast je otworzyła, gdyż Joel chwycił ją za ramię.

- Dobrze się czujesz?
- Co? - Zamrugwała powiekami. - Tak, dobrze.
- Chcę ci podziękować za to, co zrobiłaś, za rozmowę z Maggie i zabranie tu tego bractwa.
- Nic nie robiłam. - Westchnęła ze zmęczeniem.
- Uczciwie mówiąc, nie mogłabym wykonywać twojej pracy.
- Chodzi ci o to, że zwierzęta nie mogą ci się sprzeciwić? - zażartował.

Z oburzeniem podniosła głowę i nagle ożyło wspomnienie chwili, gdy stał blisko niej. Zarumieniła się i odsunęła gwałtownie, nie chcąc, by zobaczył, jak na nią działa.

- Thea? - Odwrócił ją twarzą do siebie.
- Znam Maggie od trzech lat, od chwili przyjazdu na wyspę. Byłam w różnych domach, leczyłam różne zwierzęta, ale nie miałam pojęcia, że... - Głos się jej załamał.

- W tym domu czułam się, jakbym wysiadła z wehikułu czasu. - Zaśmiała się nerwowo. - Wątpię, żeby Maggie kiedykolwiek słyszała o kuchence mikrofalowej. Pewnie nie używałaby pralki, nawet gdyby ją miała. Jest tak... jakby nic w tym domu nie zmieniło się od stu lat, a ona daje sobie radę, walczy...

Obserwował ją z powagą na twarzy.

- Zapewne masz rację. Na swój sposób nic się nie zmieniło, przynajmniej od dwudziestu lat. - Zobaczył, jak pytająco marszczy czoło i wyjaśnił: - Od śmierci George'a. Wcześniej Maggie była bardzo religijna, uczestniczyła w większości miejscowych wydarzeń, a potem... - Pokręcił głową. - Jakby straciła zainteresowanie tym wszystkim, jakby chciała się odgradzić.

- Przecież to straszne. - Zielone oczy Thei zachmurzyły się. - Czy nikt nie wiedział ani nie dbał o to, jak ona żyje?

- Mówię o czymś innym. To był wybór Maggie.

- Co? I nikt nie jest za to odpowiedzialny?

- O tak, wszyscy, ale Maggie niechętnie widziała u siebie gości, a ma prawo do prywatności.

- Prywatność! - wykrzyknęła z pogardą. - Mogła tam leżeć do sądnego dnia. Mogła umrzeć i nikt by nic nie wiedział, gdyby pani Redmont nie przyszła kupić jajek.

Jego twarz nieco stężała.

- Ten świat nie jest idealny, Theo.

- Masz rację. Chcesz powiedzieć, że ktoś taki jak Maggie, jakaś starsza osoba, może po prostu zamknąć drzwi, a inni mają prawo o niej zapomnieć. Co z oczu, to z serca, tak?

- Nie, wcale tak nie twierdzę. - Zacisnął ręce na jej ramionach. - Ale ludzie mają prawo żyć tak, jak chcą. Ty i ja wiemy, że ideałem byłoby, gdyby tacy ludzie jak Maggie byli w jakichś instytucjach, które zaspokajałyby ich wszystkie fizyczne potrzeby. A co z pozostałymi? Jakie miałyby życie w zamknięciu, bez zwierząt, gospodarstwa? Jestem tylko lekarzem. To mi nie daje prawa do odgrywania Pana Boga.

Przez chwilę patrzyła na niego w całkowitej ciszy.

- Więc poklepiesz ją po ramieniu i odeślesz do domu z pełną świadomością, że to może zdarzyć się znowu, tyle że następnym razem może być gorzej. - W jej głosie zabrzmiała gorycz.

- Widzisz wszystko w niewłaściwych proporcjach - powiedział w zamyśleniu. - Może to dobrze, że leczysz zwierzęta. Nie stawiają żądań, nie wymagają emocjonalnego zaangażowania. - Skrzywił usta. - Gdyby takie były, nie umiałabyś się z nimi obchodzić, prawda? A może jednak potrafiłabyś? Może już czas, żeby to sprawdzić.

- A właśnie, że... - Chciała krzyknąć, że to nieprawda, że leczenie zwierząt nie jest czymś łatwiejszym, Joel jednak przycisnął ją mocno do siebie. Powiedziała sobie, że nie chce nic czuć, ale poczuła: twarde uda dotykające jej ud. Spróbowała się odsunąć, ale nie mogła.

Jak na zwolnionym filmie, dotknął jej ust w pocałunku tak nieoczekiwanie zmysłowym, że stała jak zahipnotyzowana. Słyszała głucho uderzenia własnego serca. Zawirowało jej w głowie i przepłynęła przez nią fala nieznanych jej doznań, tak odmiennych od tego, czego

dotąd doświadczyła, że to wszystko wprawiło ją w pełne osłupienie.

Nigdy nie czuła tego podczas pocałunków Paula. Zadrżała mimowolnie i ze zdumieniem patrzyła na Joela przez parę sekund, a w końcu - kiedy się odsunął - uświadomiła sobie, że ogarnia ją niewytłumaczalne poczucie straty.

- Chyba już czas, żebym poszedł do domu - wyszeptał - zanim zrobię coś, czego oboje moglibyśmy żałować.

Wypuścił ją z objęć tak szybko, że nie była pewna, czy rzeczywiście to powiedział, czy też jej się zdawało.

Znalazłszy się u siebie, dokładnie zamknęła drzwi i weszła do salonu, by usiąść i zastanowić się, co to wszystko ma znaczyć.

Pozwolić, by jeden pocałunek zrobił na niej takie wrażenie - to absurd. W dodatku pocałunek, który dla Joela zapewne nic nie znaczy.

Westchnęła ciężko, wstała i poszła do kuchni. Tam zadała sobie dręczące ją podświadomie pytanie: jak by to było, gdyby pocałował ją z miłości? Szybko otrząsnęła się i trzasnęła drzwiami lodówki. Takie rozmyślenia są nie tylko bardzo niebezpieczne, ale też całkowicie nie na miejscu.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Zanim skończyła przyjmować porannych pacjentów, minęła dwunasta. Od rana nic nie jadła i zaczynała być głodna. W parę minut później zaparkowała samochód przy domu towarowym, szybko przebiegła przez jezdnię i weszła do kawiarni, w której umówiła się z Paulem. Niepokoiła się, że rozprawa, na której miał zeznawać, mogła się przedłużyć, z ulgą więc zauważyła, że czeka już na nią przy stoliku.

Na jej widok wstał. Thea pomyślała nie po raz pierwszy, że należy on do tych przystojnych blondynów, za którymi kobiety się oglądają. Usiadła i uśmiechnęła się.

- Nie byłam pewna, czy zdążysz. - Szybko złożyła zamówienie kelnerowi. - Jak wyglądała rozprawa?

Wzruszył ramionami.

- Zgodnie z oczekiwaniami: powiedziałem swoje, pozostali tak samo, i w końcu sędzia wyznaczył kuratora.

- To chyba dobrze?

- Cóż, przynajmniej to dziecko nie będzie bite, choćby przez jakiś czas. No i... - urwał, czekając, aż kelner postawi ich kanapki i kawę - mam uczucie, że chociaż w tym przypadku moje mikre wysiłki nie były całkowiście daremne.

- Biedactwo - z rozmysłem użyła lekkiego tonu - aż tak źle?

- Drobiazg. Złóż to po prostu na karb paru złych dni. Odłożyła resztkę kanapki z kurczakiem na talerz.
- Tęskniłam wczoraj za tobą.
- Ja też. Musimy przestać tak się spotykać. Ludzie zaczną plotkować. - Ucisnął jej rękę. - Słuchaj, taki tu hałas, że nie można rozmawiać. Wyjdziemy?

Miał rację. W ciągu pół godziny kawiarnia zapełniła się ludźmi, którzy podczas przerwy chcieli zjeść lunch.

Z ulgą wyszli na zewnątrz. Mimo mokrego chodnika po niedawnym przelotnym deszczu, niebo było jasne i czyste.

- Muszę wracać do pracy - oświadczył, zerknąwszy na zegarek. - Po południu mam badania kontrolne niemowląt. A ty?

- Mam czas. Skoro tu jestem, pójdę po zakupy, ale odprowadzę cię, to będziemy mogli chwilę porozmawiać.

Odwrócił się i z gwałtownością, która ją lekko zaskoczyła, objął ją i mocno pocałował, po czym uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Chciałem po prostu cię przeprosić. Wiem, że ostatnio nie jestem miły.

- Nie mów głupstw - powiedziała miękko. - Wiem, że nie jest ci łatwo, ale prędzej czy później wszystko się ułoży.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - odparł rozdrażnionym tonem. - Bo, szczerze mówiąc, długo już tego nie wytrzymam. Przy Bobie wiedziałem przynajmniej, na czym stoję, a ten facet cały czas tylko ustawia mnie i szuka błędów.

Thea westchnęła w duchu. Znowu znalazła się mię-

dzy młotem a kowadłem. Nie do końca udało się jej stłumić nutę irytacji, kiedy spytała:

- Co się stało?

- Och, to absurdalne, zupełnie niedorzeczne. Zgodziłem się na wieczorne dyżury w przychodni. I tak nie miałem wyboru. Zgodziłem się nawet na zapisy pacjentów.

Zastanowiła ją niechęć w jego głosie. Przecież dla osób mieszkających daleko od przychodni system zapisów jest wygodniejszy. Znając Joela, przypuszczała jednak, że wprowadził tę zmianę w arogancki sposób, bez konsultacji.

- Och, Paul - mruknęła ze współczuciem.

- Ale szczytem wszystkiego było to, że skrytykował mój sposób leczenia. Miał tupet oskarżyć mnie o zaniedbanie.

- Aż trudno mi w to uwierzyć. - Położyła mu rękę na ramieniu. - Musiałeś coś źle zrozumieć albo on nie zna szczegółów.

- O, zna - potwierdził z gniewem. - Parę miesięcy temu jedna staruszka miała wypadek. Zresztą nie pierwszy. Nic poważnego, skręcona kostka czy coś takiego. Nie pamiętam dokładnie. - Zrobił się czerwony. - Moim zdaniem powinna być w domu opieki i powiedziałem to wtedy. Niestety, miała kolejny wypadek. Zawieźli ją do szpitala i Forrester miał czelność zrobić piekło, że nie pojechałem do niej na wizytę kontrolną i, jakby za mało mnie jeszcze obraził, zaczął mówić o zmianie lekarza.

- Jestem pewna, że tego nie robi. - Zmarszczyła czoło. - Ta pacjentka... Nie chcę naruszać tajemnicy lekarskiej, ale czy przypadkiem nie chodzi o Maggie Pemberton?

- Tak. Najpaskudniejsze jest to, że miałem zamiar do niej wpaść, ale wiesz, jak to jest, nigdy nie starcza czasu na wszystko.

Przytaknęła, jednak nie mogła oprzeć się myśli, że w tym przypadku jedna wizyta lekarza mogłaby mieć pewien wpływ na życie Maggie.

- Jestem przekonana, że wszystko się jakoś ułoży.

- Obyś miała rację, bo nie mam ochoty być chłopcem do bicia. - Pocałował ją w policzek. - Podnosisz moje morale, wiesz? Boże, tak bardzo chciałem z tobą porozmawiać...

- Ja też - odparła z uśmiechem. - Dzwoniłam do ciebie wczoraj, ale nikt nie odpowiadał.

Przez moment miała wrażenie, że na jego przystojnej twarzy widzi zakłopotanie, ale uznała to za złudzenie.

- A, tak, wczoraj - odparł z ociąganiem. - Lepiej ci się przyznam, zanim doniesie ci o tym miejscowy głuchy telefon. Miałem wszystkiego po dziurki w nosie i poszedłem na drinka z Lindą Sawson. Znasz ją?

- To wasza nowa recepcjonistka?

- Tak. Chciała porozmawiać o pracy, a wiedziałem, że nie będziesz miała nic przeciwko temu. Prawdę mówiąc, oboje musieliśmy się odprężyć. - Zaśmiał się lekko. - To było całkiem niewinne i, jeśli mam być zupełnie szczery, odrobinę nudne. Wiesz, jak to jest?

Zaniepokoiło ją odkrycie rysy w bezpiecznym świecie, jaki sobie zbudowała.

- Oczywiście. Poza tym - zmusiła się do lekkiego tonu - jesteś wolnym człowiekiem. Masz pełne prawo wychodzić, z kim chcesz.

Zauważyła, że nieco pobladł.



- Nie jesteś zazdrosna?

- Oczywiście, że nie.

Czy naprawdę? - zastanawiała się w drodze do domu towarowego.

- Uwaga!

Zamyślona, ze spuszczoną głową, nie zwracała uwagi na to, co się wokół dzieje, dopóki ktoś nie szarpnął jej za ramię, odciągając do tyłu.

- No tak, powinienem wiedzieć, że to ty. Nie potrzebuję dodatkowych pacjentów, zwłaszcza takich, co sami rzucają się pod samochody.

Próbując odzyskać równowagę, chwyciła się gorączkowo pierwszego z brzegu obiektu i zarumieniła się, widząc przed sobą twarz Joela. Jęknęła w duchu. O, nie! Tyle tu ludzi, dlaczego to musi być on?

- Wciąż siejesz spustoszenie? - I zaraz dodał z troską: - Thea, dobrze się czujesz?

- Tak, dziękuję... Przepraszam, nie wiem, o czym myślałam. - Starła się strząsnąć jego rękę. Dopiero po chwili zwróciła uwagę na stojącą obok Joela i obserwującą ją z rozbawieniem dziewczynę.

Atrakcyjna, trzydziestoletnia brunetka z piwnymi oczami, drobna, o urodzie skłaniającej zapewne mężczyzn do stania w kolejce, by rzucić się jej na pomoc; stylowo ostrzyżona i z twarzą w kształcie serca. Thea patrzyła na nią z zazdrością.

- Cieszę się, że nie tylko mnie to się zdarza - zwróciła się do Thei. - i uważam, że jeśli ma się mieć wypadek, to najlepiej blisko lekarza.

- Nie wiem, czy znasz Helen? Thea, Helen Crawford. Helen, Thea Somers.

- Prowadzi pani z Andrew Tylerem lecznicę, prawda?  
- Nie myli się pani. - Thea uśmiechnęła się sztucznie i wyciągnęła rękę.

- Panna, i proszę, mów mi Helen. Właśnie wracamy z Joelem z zebrania. - Skrzywiła się. - Już myślałam, że nigdy się nie skończy.

- Helen jest przełożoną pielęgniarek środowiskowych i gwiazdą lokalnej społeczności.

Thea unikała spojrzenia na Joela. Kobieta roześmiała się, pokazując idealnie równe, białe zęby.

- Wy... dobrze się znacie? - Thea poczuła nagle suchość w gardle i przypływ emocji, których wołała nie nazywać.

Joel uśmiechnął się.

- O, tak. Kiedyś myślałem nawet, że uda mi się namówić ją, żeby została lekarzem.

- Jestem zadowolona z tego, co robię. My też służymy ludziom. Co mi przypomina... - Roześmianymi oczami spojrzała na Theę. - Próbowałam przekonać Joela, żeby szerzej włączył się w tutejsze życie. Muszę przyznać, że mam w tym swój interes. Jesteśmy w podbramkowej sytuacji. Za parę tygodni odbędzie się wielki festyn, miejscowe święto wiosny, a jeden z członków komitetu organizacyjnego zrezygnował. Znasz radcę Drew? Umarła mu żona i ciężko to przeżywa. Nie czuje się na siłach, żeby podjąć dodatkową pracę. Szukamy więc kogoś, kto go zastąpi i zajmie się oceną ciastek i dżemów domowej roboty. Namawiam Joela, ale on - jak zwykle - jest uparty.

Thea zerknęła w jego stronę i od razu tego pożałowała. Z wysiłkiem zebrała myśli.

- Nie mogłaś znaleźć lepszego eksperta - powiedziała gładko. - I chodzi przecież o słuszną sprawę.

Joel uśmiechnął się lekko.

- W takiej sytuacji zrobię z tobą interes. Podejmę się tego zadania, jeśli ty podejmiesz się swego.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- To całkiem proste. Będę sędzią dżemów i ciastek, jeśli ty zajmiesz się dziećmi.

- To... nie fair - wymamrotała.

- Przecież chodzi o słuszną sprawę, Theo. Z przyjemnością podejmiemy się tego.

- Och, to cudownie. - Helen Crawford rozpromieniła się. - Ulżyło mi, i komitet będzie wam niezmiernie wdzięczny. O, Boże, jak późno! Joel, muszę lecieć. Mam jeszcze parę wizyt.

- Skontaktujemy się później. - Pocałował ją lekko w policzek i pomachał ręką, kiedy pobiegła w stronę parkingu.

- Więc dokąd teraz?

Z wściekłości oblała się rumieńcem.

- Jak śmiałeś mi to zrobić?

- Co?

- Świetnie wiesz. - Ze złością odsunęła ramię, które próbowało ją podtrzymać. - Nie miałeś prawa zmuszać mnie do zobowiązań. Poza tym - wyprostowała ramiona, ignorując złośliwy błysk w jego oczach - nie znam się w ogóle na dzieciach!

- Och, nie! Co za wstyd! Ja wiem o ciastkach i dżemach przynajmniej to, że stoją na półkach w supermarkecie...

- Barbarzyńca. Poinformuj o tym panie z komitetu.

- Oboje musimy się wiele nauczyć - powiedział miękko. - Ale w końcu działamy w dobrej sprawie, więc trzeba to znieść z uśmiechem na ustach.

- Mogłeś się nie zgodzić.

Uśmiechnął się z pobłażaniem.

- Nie znasz Helen. To bardzo uparta młoda dama. Zwykle dostaje to, czego chce.

Łącznie z Joelem Forresterem? Thea lekko zbladła i nagle poczuła się znużona. Spojrzała na zegarek.

- Muszę iść. Wybacz.

- Zaczekaj. - Położył dłoń na jej ramieniu. - Nie podziękowałem ci właściwie za to, co zrobiłaś wczoraj u Maggie. Nie dałbym sobie rady bez ciebie.

- Jak ona się czuje?

- Znacznie lepiej, wiedząc, że ktoś troszczy się o jej zwierzęta. Myślę, że w pewnym sensie trzymają ją przy życiu.

- Większość starych ludzi przywiązuje się do swoich ulubieńców. Tęsknią za nimi podczas pobytu w szpitalu. A zwierzęta tęsknią za swoimi właścicielami.

Zastanawiał się przez chwilę.

- Słyszałem o jakimś eksperymencie z przyprowadzaniem zwierząt na wizyty do szpitala.

- A, chodzi ci o akcję „Pogłaszcz psa”.

- Pogłaszcz psa?

- Uhm. - Uśmiechnęła się, z przyjemnością akceptując zmianę tematu. - Staje się coraz popularniejsza. Polega na tym, że ochotnicy przychodzą z własnymi psami do szpitali, domów opieki, a nawet do prywatnych domów, na pogawędkę z chorym, podczas, gdy on, dosłownie, głaszcz psa i mówi do niego. Oczywiście, trze-

ba być na sto procent pewnym, że pies jest łagodny i przyjacielski.

- To jasne.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

- Podejrzewam, że uważasz ten pomysł za dziwactwo?

- Wręcz przeciwnie - odparł spokojnie. - Wiele dowodów medycznych wskazuje na to, że głaskanie zwierząt wpływa uspokajająco na człowieka i znacząco obniża nadciśnienie. Uważam, że takie akcje powinno się prowadzić.

- Akceptujesz to? - spytała ze zdziwieniem.

- Całkowicie. Chcę, żeby ludzie czuli się lepiej. Przychodzi im to łatwiej, jeśli nie martwią się o swoich ulubieńców. Myślę, że warto poważnie nad tym się zastanowić. A ty co o tym myślisz?

Uśmiechnęła się promiennie.

- Oczywiście. Co proponujesz?

- Będę musiał wysondować parę osób. - Ruszyli w kierunku jej samochodu, przepychając się przez tłum przechodniów. Joel objął ją opiekuńczo ramieniem. - Moglibyśmy zrobić początek, zabierając Wellie'ego, oczywiście kiedy już wydobreje, do jednego z naszych domów opieki. Większość ludzi go zna. Moglibyśmy pójść razem. Co ty na to?

Patrzył na nią w taki sposób, że sama nie wiedziała, co myśli. Zarumieniła się i skinęła głową.

- Jeśli to zorganizujesz, pójde.

- Świetnie. Dam ci znać.

Weszli na parking. Trudno, zrobi zakupy innego dnia.

- Lubisz swoją pracę, prawda?

- Są w niej przyjemne chwile, ale ma też i złe strony  
- odpowiedział po chwili. - Ogólnie jednak, tak. Daje mi mnóstwo satysfakcji. O tym jednak sama przecież wiesz.

Doszedłszy do land rovera, wyciągnęła kluczyki i niechcący je upuściła. Zakłęła cicho.

- Pozwól. - Płynnym ruchem podniósł je i położył na jej dłoni. Szybko cofnęła rękę.

- Dziękuję.

- Drobiazg. Może lepiej ja otworzę. - Wziął kluczyki i pochylił się nad drzwiami.

Z fascynacją wpatrywała się we włosy zawijające się lekko nad kołnierzykiem. Poczowała pulsowanie w skroniach.

- Musisz... musi ci się wszystko wydawać inne po pobycie w Kanadzie. Po tej wielkiej, otwartej przestrzeni nie boisz się praktyki w małym miasteczku?

Roześmiał się.

- Nie cała Kanada jest wielką, otwartą przestrzenią. Poza tym zawsze chciałem tu wrócić - powiedział spokojnie. - Miałem przejąć praktykę od wuja, kiedy przejdzie na emeryturę. Obaj tego chcieliśmy. To smutne, że tak się nie stało.

- Nie żałujesz niczego?

- Że nie było mnie tutaj, kiedy umierał? Oczywiście, że tak. Nie żałuję jednak lat spędzonych za granicą. Wiele mnie nauczyły.

- Nie jest ci trudno osiąść w jednym miejscu?

Z obojętnością wzruszył ramionami.

- I tak skończył mi się kontrakt.

- Ile czasu minie, nim znowu poczujesz potrzebę zmiany?

Uśmiechnął się krzywo.

- Chcesz się mnie pozbyć, Theo?

Zirytowała się.

- Nie podsuwaj mi takich pomysłów. - Zauważyła jednak, że nie odpowiedział na jej pytanie. Joel Forrester, dziś tu, jutro tam.

Spojrzał na nią przenikliwie.

- Opowiedz mi o sobie i Prescottcie.

- O Paulu? - Zarumieniła się. - Dlaczego?

- Jestem ciekaw.

- Nie ma o czym mówić. Zaprzyjaźniliśmy się wkrótce po tym, jak zaczął tu pracować. - Napotkała spojrzenie Joela, jednak nie mogła nic z niego wyczytać. - Paul jest dobrym lekarzem. Dbą o pacjentów. Chyba nie byłeś wobec niego sprawiedliwy...

- Podziwiam twoją lojalność, nawet jeśli Paul na nią nie zasługuje.

- To nieprawda. Nie dałeś mu szansy.

- Wiesz, że on do ciebie nie pasuje? - spytał cicho.

- Ty wiesz lepiej niż ja, prawda? - Poczwała dziwne mrowienie, kiedy przesunął palcami po jej policzku i pozwoli przyciągnąć ją do siebie.

- Tak sędzę. - Odchylił jej głowę. - Mógłbym cię o tym przekonać.

- Nie, ja...

Urwała, gdy zbliżył swą twarz i ciepłym oddechem ogrzał jej policzek. Poczwała muśnięcie na wargach, powolne przesuwanie się jego ust na szyję i ich powrót na początek drogi. Z lekkim przerażeniem poddała się fali emocji, nad którą nie miała żadnej kontroli. Wsunęła dłonie w jego włosy i przytuliła się bliżej.

Nie była przygotowana ani fizycznie, ani psychicznie na poddanie się doznaniom, jakie wzbudził w niej ten mężczyzna - tym bardziej zaś na własną na nie reakcję. Była wstrząśnięta i przerażona. Co robi? Dlaczego poddaje się bez oporu? Co wie o tym człowieku oprócz tego, że mógłby oczarować ptaki na drzewach?

- Proszę, nie - szepnęła i odsunęła go od siebie. Miała wrażenie, że on także oddycha głośniej. - Zadowolony, doktorze?

Skrzywił usta.

- Muszę cię rozczarować, Theo, ale do tego nie wystarczy mi jeden pocałunek.

Prawie zabrakło jej tchu na myśl o tym, co sugerował.

- Nie wiem dokładnie, co chciałeś udowodnić - powiedziała głucho - i nawet mnie to nie obchodzi. Ale od tej chwili wołałabym, żebyś zachował wobec mnie dystans. W istocie będzie lepiej, jeśli w sprawie Wellie'ego skorzystasz z porad Andrew.

- Chyba o czymś zapominasz.

Spojrzała na niego niepewnie. Dlaczego miała uczucie, że mimo wygranej bitwy wcale nie wygrała wojny?

- Nie rozumiem...

- Chodzi o kawałek ziemi.

- Ziemi?

- Kawałek ziemi, na którym trzymasz tę... swoją menażerię.

Patrzyła na niego ze zdumieniem.

- Mam dzierżawę i zanim zaczniesz przesuwac granice - mówiła gorączkowo - pozwól mi wyjaśnić, że miałam długoterminową umowę z Bobem. Ważna jest jeszcze sześć miesięcy.



- Niestety, nie jest to takie proste. Być może umknęło to twojej uwadze, ale ziemia nie należy już do Boba. Wraz z jego śmiercią stała się moją własnością i jestem pewny, że zdajesz sobie sprawę z jej wartości.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytała zaniepokojona.

- Chciałem po prostu zwrócić uwagę, że mogę mieć inne plany wobec tego kawałka ziemi. Mogłaby to być, na przykład, bardzo cenna działka budowlana.

- Budowlana... - powtórzyła z wysiłkiem. - Nie mógłbyś. Nie zrobiłbyś tego.

- Uświadamiam ci tylko taką możliwość.

- A pieniądze, oczywiście, są ważne - powiedziała z gorzką ironią.

- Z pewnością nie należy o nich całkiem zapominać. Z przerażenia głęboko wciągnęła powietrze.

- Nie możesz tego zrobić.

- Zapewniam cię, że mogę i zrobię, jeżeli nie zgodzisz się dotrzymać naszej umowy. Chcę, żebyś nadal zajmowała się Wellim. Ale wybór, oczywiście, należy do ciebie.

- To szantaż.

- Wolałbym nazwać to raczej obustronnie korzystnym porozumieniem. - Na jego wargach pojawił się blade uśmiech. - Może ci się to nie podobać, ale jestem tu i zamierzam pozostać, nawet jeśli burzy ci to twój mały świątek. Im szybciej zaczniesz się do tego przyzwyczajać, tym lepiej.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy w końcu zasnęła, przyśniła się jej ciemno ubrana postać, która z diabelskim chichotem goniła ją po polu. Ilekroć Thea miała nadzieję uciec, okazywało się, że znów ją ma za plecami. Długo rzucała się niespokojnie na łożku.

Obudziła się wyczerpana. Oczy miała zapadnięte, pod nimi sińce, a twarz tak bladą, że musiała przypudrować policzki.

W takim stanie weszła do lecznicy, bez słowa rzuciła torebkę i usiadła przy biurku.

Sandra uniosła wzrok znad pliku kart i powitalny uśmiech zamarł na jej wargach.

- Dobrze się czujesz? - spytała.

- Słucham? O, tak, dziękuję. Przepraszam cię.

- Thea zmusiła się do skoncentrowania na liście przyjęć.

- Wyglądasz mizernie. Mam nadzieję, że to nie grypa. Może powinnaś pójść do lekarza?

Thea sięgnęła po karty i głęboko zaczerpnęła powietrza.

- Nic mi nie jest. To tylko kilka nie dospanych nocy.

- Spojrzała na zegarek. - Możemy zaczynać?

- Szykuj się do odparcia ataku - odparła Sandra z uśmiechem. - Znowu przyszedł pan Payne z tym starym owczarkiem angielskim.

Thea włożyła długopis do kieszonki i przywołała uśmiech na twarz.

- Dzień dobry panu. Jak się czuje dziś Timmy?  
- Nie najlepiej. - Joe Payne prawie wciągnął potężnego psa, który natychmiast usiadł, sapiąc ciężko. - Nie mam pojęcia, co się dzieje.

- Obejrzyjmy go.

Przeprowadziła bardzo dokładne badanie gruczołów, oczu, łap i gardła.

- Wszystko wydaje się w porządku - stwierdziła. - Czy ma apetyt?

- Bez przerwy. Mógłby zjeść konia z kopytami.

- A dużo się rusza?

- Teraz już nie - odparł Joe. - Chyba się starzeje. Cóż, wszystkich nas to czeka. - Objął kark psa ramieniem. - Obaj się starzejemy, co, staruszk?

Thea roześmiała się.

- Sześćioletni pies to jeszcze nie staruszek. W istocie jest w kwiecie wieku. - Spowaźniała. - Chodzi pan z nim na spacer?

- Jasne. Sam ich potrzebuję, od kiedy przeszedłem na emeryturę, ale on ich ostatnio nie lubi. Na początku przechadzki jest dość żywy, ale szybko się kładzie, jakby miał już dosyć. Dawniej chadzaliśmy kilometrami wzdłuż wybrzeża i przez pola.

Thea poczochnęła futro psa.

- Ma nadwagę. Je zbyt dużo i ma za mało ruchu. To błędne koło. Im więcej je, tym bardziej jest ociężały, im bardziej jest ociężały, tym łatwiej tyje.

Joe opuścił gabinet z Timmym i przepisem na odchudzającą dietę, a Thea przygotowała się na przyjęcie następnego pacjenta.

Wykonała kilka rutynowych szczepień, spiłowała zę-

by śwince morskiej, staremu labradorowi z artretyzmem zaordynowała kurację steroidową, a po jeszcze paru pacjentach rozboleła ją głowa. Na szczęście wkrótce gabinet opuściło ostatnie tego ranka zwierzę.

Z westchnieniem ulgi powitała Sandrę wnoszącą dzbanek gorącej kawy.

- Och, jesteś aniołem.

- Podejrzewam, że i to może ci się przydać. - Dziewczyna z uśmiechem podała jej na dłoni dwie aspiryny.

- Życie mi ratujesz. - Thea przełknęła pastylki, wypła kawę i w końcu zdjęła fartuch. - Aż boję się pytać, ile jest dziś wizyt domowych?

- Tak się składa, że masz szczęście.

- To znaczy...

- Óóó... Nie kuś losu. Masz dziś wolne popołudnie.

- Wcale nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia!

- A przy okazji - zagadnęła Sandra - jak dajesz sobie radę ze zwierzętami pani Pemberton?

- Nie jest tak źle. Tylko nieco tłoczno.

- No więc, jak sobie radzisz w tym tłoku?

Thea skrzywiła się.

- Jest ciasno, ale mam nadzieję, że Maggie niedługo wróci. Problem w tym, że ona się starzeje. Co stanie się ze zwierzętami, kiedy zabraknie jej sił?

Sandra przysiadła na biurku.

- Nie będziesz mogła wziąć ich na stałe?

- Niestety, to nie jest takie proste. Mam mało miejsca, ale nie w tym problem. - Widząc pytające spojrzenie Sandry, ciężko westchnęła. - Mam dzierzawę tylko na sześć miesięcy.

- To chyba żaden problem. Nie możesz jej przedłużyć, jak dotąd?

Thea parsknęła gorzkim śmiechem.

- Jak wiesz, ten teren nie należy już do Boba.

- No, tak, ale jaka to różnica? To znaczy, jego bratanek ..

- Obawiam się, że doktor Forrester ma zdecydowanie inne plany. - Skrzywiła się, czując tępy ból w skroniach. - Wygląda na to, że mógłby dostać za ten teren bardzo dobrą cenę, gdyby... sprzedał go pod zabudowę.

- Nie mówisz poważnie! - zawołała Sandra. - Przecież nie może tego zrobić. To znaczy... nie zrobi tego, prawda?

Thea przeciągnęła drżącą ręką po włosach.

- Doktor Forrester nie jest typem człowieka, który by się przejmował paroma zwierzętami. To najbardziej arogancki i zadufany człowiek, jakiego znam.

Dłoń Sandry znieruchomiała nad kartoteką.

- Jesteś pewna? To dziwne, dotąd nie słyszałam o nim złego słowa. Oczywiście, niewiele o nim wiem, ale zrobił na mnie naprawdę dobre wrażenie.

- To tylko dowodzi, jak łatwo udaje mu się nabierać ludzi.

Ktoś zapukał do drzwi, a po chwili Karen wsunęła głowę do środka.

- Przepraszam, że wam przerywam, ale jest do ciebie telefon, Theo. Doktor Forrester. Mówi, że to ważne.

- O wilku mowa. - Sandra zerwała się. - Zostawię cię, żebyś mogła spokojnie porozmawiać.

Thea zacisnęła wargi i chwyciła kasetkę z kartami.

- Muszę iść do recepcji, tam odbiorę telefon.

- Słucham.

- Czy to ty?

Niesłychane. Sam dźwięk jego głosu powodował mrowienie w całym jej ciele.

- O co chodzi?

- Czy możesz do mnie przyjechać?

Jeśli on wyobraża sobie, że może ot tak po prostu zadzwonić i wezwać ją do siebie, to za chwilę bardzo się rozczaruje.

- Obawiam się, że w tej chwili jestem nieco zajęta, doktorze Forrester.

- Thea?

Zacisnęła palce na słuchawce.

- Chyba to jasne, że nie mam ochoty na spotkanie...

- Nie dzwonię towarzysko. - Głos Joela załamywał się. - Chodzi o Wellie'ego.

Poczuła, jak robi jej się zimno.

- Co się dzieje?

- Nie jestem pewien, ale to chyba nawrót. Nie wygląda dobrze. Może powinienem przywieźć go do lecznicy, ale...

- Nie. - Próbowała zebrać myśli. - Postaram się być jak najszybciej, a ty mów do niego, ale nie dawaj mu nic do jedzenia ani do picia.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytał stojący w drzwiach Andrew.

- Dzwonił Joel. Wygląda na to, że Wellie'emu się pogorszyło.

- W takim razie jedź. Ja zajmę się resztą.

- Dzięki - odparła, chwytając torbę.

Jazda z lecznicy do domu Joela zajęła jej około dzie-

sięciu minut. Kiedy znalazła się na wyźwirowanym podjeździe, okazało się, że drzwi są już otwarte.

- Thea? - zawołał Joel. - Jesteśmy w kuchni.

Zastała go klęczącego obok psa i głaszczącego go po głowie. Wyjęła z torby stetoskop.

- Czy są jakieś zmiany?

Zrobił jej miejsce. Wyglądał na zmęczonego, tak jakby wcale nie spał.

- Wygląda mniej więcej tak samo. Chyba jest w szoku.

- Obejrzyjmy go. Cześć, Wellie, staruszku. - Przemawiając delikatnie, przyłożyła stetoskop do piersi psa.

- Strasznie wali mu serce. Tętno co najmniej sto czterdzieści na minutę. - Zbadała dokładnie całe ciało psa, zajrzała mu do oczu i do pyska. - Ma niską temperaturę i rozszerzone źrenice.

- W jakim jest stanie? - Joel podniósł się, gdy wstała i schowała stetoskop do torby.

- Jest bardzo chory. - Zmusiła się, by spojrzeć mu w oczy. - Sam zresztą to wiesz.

- To nie wygląda na infekcję dróg oddechowych.

Pokręciła głową.

- Nie, wszystko wskazuje na atak serca.

- Bałem się tego - wyznał łamiącym się głosem.

- Wyglądasz okropnie. Czy ty w ogóle spałeś w nocy?

- Niewiele.

- Chyba wcale.

Przeczesał palcami włosy.

- Czy coś możemy dla niego zrobić?

- Możesz przynieść koc, pies powinien być trzymany w cieple.

Joel zniknął na schodach, a Thea ułożyła Wellie'ego w najwygodniejszej pozycji.

- Co dalej? - spytał Joel, przykrywając zwierzę.

- Nie chcę cię oszukiwać. Atak serca jest niebezpieczny, szczególnie dla psa w takim wieku.

- Jestem lekarzem - rzucił ostro - i nie musisz mi tego tłumaczyć. Do diabła, nie chciałem tego powiedzieć.

Bezwiednie położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie szkodzi. Wiem, jak bardzo się denerwujesz i ile ten pies dla ciebie znaczy.

Poczuła, jak mięśnie Joela tężeją pod jej dotykiem.

- Robisz, co do ciebie należy, a ja jestem przewrażliwiony. Rób dalej to, co jest konieczne.

- Niczego nie mogę ci obiecać, wiesz o tym?

Zacisnął wargi.

- Głupio mi, przecież to tylko pies.

- Nie tylko - powiedziała miękko. - Jest częścią życia Boba i twojego. Nie poddamy się, będziemy o niego walczyć.

- Po prostu powiedz mi, co powinienem zrobić.

- Nic. Powinam wziąć go do lecznicy, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, zabiorę go do siebie.

- Nie musisz tego robić, chyba potrafisz sobie poradzić.

- Jestem tego pewna, ale to ja jestem weterynarzem.

- Uważasz, że lepiej potrafisz zachować zimną krew?

W tej chwili daleko mi do tego, pomyślała. Był taki zmęczony i bezbronny, że z trudem powstrzymywała się, by go nie objąć i scałować napięcia z jego warg. Była zakłopotana, poznając nową twarz Joela.



- Mam nadzieję, że potrafię postępować profesjonalnie i obiektywnie - rzekła łagodnie. - Po namyśle przynasz mi rację. Pies potrzebuje teraz spokoju. Przy tobie będzie podekscytowany, będzie zachęcał cię do zabawy, domagał się spaceru, mimo że czuje się źle. - Sięgnęła po torbę. - Zrobię mu zastrzyk spowalniający pracę serca; kiedy zacznie działać, możesz go przenieść do land rovera.

Wellie bez protestu pozwolił wbić sobie igłę.

- Teraz najlepszy dla niego jest sen - dodała.

Joel przyklęknął i pogłodził psa po jedwabistej sierści.

- Masz rację, już się rozluźnił - stwierdził.

Thea wpatrywała się bezmyślnie w jego mocne plecy, szerokie ramiona i wąskie biodra.

- Zrobię herbatę - ocknęła się, kiedy wstał i odwróciła, lecz on chwycił ją za nadgarstek.

- Poczekaj. - Pocałował ją w rękę. - Zaufaj mi, Theo.

Łatwo powiedzieć! Zmieszana, próbowała umknąć wzrokiem. Usłyszała, jak gwałtownie zaczerpnął powietrza i poczuła, że zbliża się do niej. Zaciśnęła powieki, gdy jego usta dotknęły jej warg, a niespodziewane doznania zaróżowiły policzki. Była przerażona tym, jak szybko mu ulega. A co z Paulem? - gryzło ją sumienie.

- Joel, nie...

Przyciągnął ją bliżej, starając się rozpiąć guziki jej bluzki. Wstrzymała oddech, gdy wreszcie jego dłonie odszukały jej pełne piersi. Jęknęła cicho.

- Nie chcę być twoim wrogiem, Theo - szepnęła, szukając znów jej warg.

I ona nie chciała być jego wrogiem, kłopot jednak polegał na tym, że nie wiedziała, czego chce. Czy powinna być lojalna wobec Paula? Z nim nigdy nie czuła się w ten sposób. Pożądanie nigdy nie wymykało się jej spod kontroli.

- Dprowadzasz mnie do szaleństwa, wiesz? - szepnął Joel.

Z westchnieniem przytuliła się do niego, objęła go za szyję, a potem wsunęła palce w jego ciemne włosy. Przycisnęła ją tak mocno, że ich ciała przylgnęły do siebie z przemożną siłą.

Wtem uniósł głowę i gwałtownie ją uwolnił.

- Joel! Zobaczyłam samochód przed domem. Tak się cieszę, że cię złapałam...

Drzwi z wolna otworzyły się, a Thea poczuła wdzięczność dla Joela, który stanął tak, by zasłonić ją przed wzrokiem wchodzącej kobiety i dać czas na zapięcie bluzki. Pospiesznie przygładziła włosy, starając się przywrócić sobie schludny wygląd.

- Przepraszam, że pozwoliłam sobie wejść, ale drzwi były otwarte. - Roześmiany wzrok Helen Crawford powędrował za plecy Joela i natknął się na Theę. - Panna Somers? - Wargi Helen zacisnęły się. - Czyżbym zjawiła się w nieestosownym momencie?

- Nie, oczywiście, że nie! - wykrzyknęli jednocześnie. Thea marzyła, by zapaść się pod ziemię i z zawiścią patrzyła na ironiczny błysk w oczach zupełnie nieporuszonego Joela.

- Właśnie wychodziłam - powiedziała.

Piwnie oczy Helen znów spoczęły na Joelu.

- Jechałam do przychodni, żeby zostawić ci wia-

domość. Czy mógłbyś pojechać do pani Walker z Wierzbowej Farmy? Dziś wczesnym rankiem urodziła dziecko.

- Oczywiście. To już trzecie, co?

- Tak. Poród był nieskomplikowany, ale pani Walker jest dosyć wyczerpana, a dziecko ma początki żółtaczki. Jestem jednak pewna, że nie ma powodów do niepokoju.

- Wszystko jedno, pojedę tam pod wieczór.

- Jak to miło, że znów jesteś z nami. - Helen uśmiechnęła się miękko. - Nie mogę się doczekać twoich opowieści o Kanadzie. Musimy się spotkać i porozmawiać.

- Tak, tak, ale na razie mam tyle roboty...

Helen położyła dłoń na ramieniu Joela, jakby tym gestem chciała wzmocnić swoją prośbę. Thea drżącymi rękami chowała stetoskop do torby.

- Często się zastanawiam, czy sama też nie powinnam rozwinąć wreszcie skrzydeł - ciągnęła Helen. - Słyszałam, że Kanada to kraj ogromnych możliwości, nie wspominając już o ogromnych brunatnych niedźwiedziach. - Jej dziecinny chichot grał Thei na nerwach. Zatrzasnęła torbę głośniejsz, niż zamierzała. - Podobno są strasznie niebezpieczne.

- Nie spotkałem tam żadnych niedźwiedzi. Zapewniam cię- jednak, że dużo bardziej niebezpieczne stworzenia można spotkać tutaj. Jedyne różnica polega na tym, że z pozoru są one małe i słodkie, a atakują, gdy najmniej się tego spodziewasz. Prawda, Theo?

Wyprostowała się, starając zapanować nad głosem.

- No cóż, nic mi o tym nie wiadomo. Jeśli można, chciałabym już zabrać Wellie'ego do siebie.

- Oczywiście, zaniosę go do land rovera.

- Nie ma potrzeby.

- Ale zrobię to. - Kpiąco zmarszczył czoło. - Jestem pewien, że Helen może chwilę zaczekać.

Owinął psa kocem i ostrożnie zaniósł do samochodu.

- Zadzwoń jutro rano.

- Nie musisz. W razie czego sama się odezwę.

- Thea - przytulił ją - jeszcze ci nie podziękowałem.

Dlaczego nie pozwoli jej po prostu odjechać? Westchnęła lekko, gdy ją pocałował.

- Do widzenia. Śpij dobrze.

Mała nadzieja, pomyślała, czując przyspieszone bicie serca. Będzie miała szczęście, jeśli w ogóle uda się jej zasnąć.

W domu wzięła do ręki gazetę, ale mimo dwukrotnego przeczytania tej samej strony nie zrozumiała ani słowa. Postanowiła wziąć się w garść. Związała włosy, poszła do kuchni i zabrała się do mycia naczyń. Jak mogła pozwolić, by znowu pocałunek tak ją wzburzył? I dlaczego na samą myśl o nim jej policzki płoną? Odstawiła ostatni talerz do szafki i z niespotykaną u niej furją zatrzasnęła drzwiczki.

Miała inne plany na wolne popołudnie, ale kiedy skończyła zmywać, dalej nie potrafiła się odprężyć. Siedziała przy kuchennym stole zmęczona, czekając, aż ugotuje się zupa, i na widok samochodu Paula cicho jęknęła z przerażenia.

- To całkiem legalne - powiedział, całując ją w policzek. - Jestem już wolny.

- Miło mi słyszeć - odparła sucho i automatycznie sięgnęła po drugi talerz.

- Co to jest?

- Zupa pomidorowa. - Z brzękiem położyła łyżki na stole. - To był okropny dzień i jedno z nas nie jadło nawet lunchu.

Paul skrzywił się.

- Liczyłem na coś więcej. Myślałem, że zechcesz wybrać się ze mną na kolację.

- Czy jest jakaś okazja?

- A czy musi być? - Wydawał się lekko rozczarowany.

- Przepraszam cię, Paul, ale czy moglibyśmy to odłożyć? Miałam naprawdę ciężki dzień i chcę wcześniej pójść spać.

- Nie masz mi za złe, że wpadłem? - odezwał się kwaśno. - Może powinienem przedtem zadzwonić? Co się dzieje? Czyżby mój chłopięcy czar przestał działać?

- Na miłość boską, Paul! - zawołała i natychmiast poczuła się winna. - Naprawdę jest mi przykro, nie powinnam tak na ciebie krzyczeć. To tylko... Wellie jest w ciężkim stanie, miał chyba atak serca.

- I to wszystko, głuptasie? - Przyciągnął ją do siebie. - Dlaczego mi nie powiedziałaś? Już zaczynałem myśleć, że to jakieś osobiste kłopoty.

Zesztywniała.

- Tak się składa, że bardzo lubię Wellie'ego.

- Oczywiście, kotku, wiem. - Roześmiał się, lecz usłyszała w jego śmiechu skrywane rozdrażnienie. - Nie musisz nic wyjaśniać. Jestem tylko trochę rozczarowany, ale będą przecież inne okazje.

- Będą na pewno. - Starąła się być miła. - Może jutro?

- Nie, jutro nie mogę. Obiecałem swoje usługi komitetowi organizującemu konkurs rzucania strzałkami podczas festynu.

Czy jego odpowiedź nie pojawiła się zbyt szybko? Czy był to tylko wykręt?

Przemknęło jej przez myśl, że Paul postanowił dać jej zasmakować tego samego lekarstwa, którym przed chwilą go uraczyła. Jeśli tak, to byłby pewnie bardzo zdziwiony, gdyby wiedział, że odczuła jedynie ulgę na myśl o paru wolnych wieczorach. Starąła się, aby jej odpowiedź zabrzmiała miło i uprzejmie:

- Trudno, nic nie możesz na to poradzić.

- Thea! - Chwytał ją za rękę i zmusił, by spojrzała na niego. - Spędziliśmy razem wiele przyjemnych chwil, prawda?

- Prawda. - Przeczuwała, co nastąpi dalej, choć wołałaby tego na razie uniknąć. - Wiesz chyba, jak bardzo cię lubię. Co prawda nie jesteśmy formalnie zaręczeni, i to pewnie z mojej winy... - Spojrzał na nią i nie mógł nie dostrzec ostrożnego sceptycyzmu malującego się w jej oczach. - Nie dlatego, że mi nie zależało. Przeciwnie, myślałem, że pewnego dnia...

Patrzyła na niego przygnębiona, rozpaczliwie zastanawiając się, co powiedzieć.

- Och, Paul...

- Zawsze myślałem... Miałem nadzieję, że czujesz to samo...

Thei ścisnęło się gardło. Jeszcze miesiąc temu była całkiem pewna, ale teraz...

- Też cię bardzo lubię - powiedziała.
- Miałem nadzieję na coś więcej.
- Myślałam, że tak jak jest, jest dobrze. Dlaczego teraz...

- Do diabła, czy kiedykolwiek jest odpowiedni moment? - Zacisnął zęby. - Co proponujesz? Za tydzień? Za miesiąc? Za rok? - Nagle zaczął zachowywać się jak rozkapryszony chłopiec. - Musisz zrozumieć, że nie zamierzam żyć zawsze tak jak teraz. Chcę wiedzieć, na czym stoję.

- Nie rozumiem - wydusiła.

- Nie ma dla mnie przyszłości w tym grajdole, to chyba jasne. Muszę zdecydować, co zrobić z moim dalszym życiem, osobistym i zawodowym. Jeśli tylko tracę czas, chciałbym to wiedzieć.

Wpatrywała się w niego z rozpaczą.

- Chcesz powiedzieć, że mam jakiś wpływ na twoje decyzje? Czy to jest rodzaj ultimatum?

- Nic prawie mnie tu nie trzyma i nie zamierzam spędzić reszty życia, grając drugie skrzypce. Uważam, że jestem dobrym lekarzem, bez względu na to, co sądzi o mnie Jego Wysokość Forrester. Są miejsca, w których mógłbym zostać doceniony - zaśmiał się gorzko - i zacząć zarabiać pieniądze. - Skrzywił się i umknął wzrokiem. - I tak miałaś się kiedyś dowiedzieć, więc mogę ci powiedzieć teraz. Rozważam możliwość wyjazdu za granicę. Złożyłem już podania w kilku miejscach i myślę, że dostanę pracę. A jeśli tak, to muszę wiedzieć, czy chciałabyś pojechać ze mną.

- Czy proponujesz mi małżeństwo?

Wydawał się dziwnie zmieszany.

- To też, oczywiście, ale przede wszystkim muszę wiedzieć, na czym stoję. Tutaj w grę wchodzi moja przyszłość.

A moja przyszłość? - spytała się w duchu.

- No tak, jasne.

Prawie było go jej żal. Obydwoje znaleźli się w podobnej sytuacji, jednak nie miała siły na kłótnie. Może to jej wina? Powinna była dostrzec, że jej uczucia dla Paula, przedtem tak oczywiste, nagle stały się niepewne i jakby niewyraźne.

- A konkretnie, dokąd chcesz wyjechać?

Wzruszył ramionami.

- Australia. Może Nowa Zelandia. Wszędzie potrzebują lekarzy.

Australia! Thea z trudem przełknęła ślinę.

- Przepraszam cię, Paul, ale nie spodziewałam się tego i nie wiem, co powiedzieć - odparła w końcu.

- Czy tak ci trudno podjąć decyzję?

- Nie rozumiesz, o co chodzi - próbowała tłumaczyć. - Lubię moją pracę, tutejszych ludzi, życie w małej społeczności.

- To jest zapadła dziura i nic się tu nie zmieni. To tak, jakbyś żyła gdzieś, gdzie czas się zatrzymał.

- Może to właśnie mi odpowiada - rzuciła ostro, ale szybko ochłonęła. - Lubię cię, Paul, nawet bardzo - od ruchowo dotknęła jego dłoni - ale czy nie rozumiesz, że małżeństwo to bardzo poważne zobowiązanie? Według mnie to umowa na całe życie, a kiedy jeszcze w grę wchodzi wyjazd za granicę, pozostawienie wszystkich przyjaciół...

Gwałtownie cofnął rękę.

- Jeśli masz na myśli szczególnie jednego - jego głos



zabrzmiał fałszywie - to pozwól sobie powiedzieć, że znajdujesz się na straconych pozycjach. Forrester nie jest materiałem na męża.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Nie? - roześmiał się. - Naprawdę? W takim razie ja pierwszy przekażę ci tę wiadomość. Forrester był już żonaty.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Przez chwilę miała wrażenie, że ziemia usuwa się jej spod stóp.

- Nie miałam pojęcia. Powiedziałeś, że był żonaty?

- Tak. Zdaje się, że spotkał ją podczas studiów. Była tancerką czy baletnicą. - Paul roześmiał się pogardliwie. - Tak czy inaczej szybko spostrzegła, w co wdepnęła. Wiesz, że on chciał, żeby zamieszkała z nim tutaj? Wyobrażasz to sobie? Porzucić Londyn, estradę i zostać żoną lekarza?

- Chcesz powiedzieć, że go rzuciła?

- Wytrzymała tu trzy miesiące, a potem, nie mogąc znieść nudy, uciekła do swoich przyjaciół. Zresztą, kto mógłby mieć jej to za złe. W końcu załatwili rozwód i Forrester wyruszył za morza. - Położył rękę na jej dłoni. - Rozumiesz teraz, że nawet jeśli tu wrócił, nie bardzo kwapi się, żeby znowu się angażować, w każdym razie poważnie.

Thea była wstrząśnięta.

- Musiał przeżyć ciężki okres - rzekła cicho.

- Nie współczuj mu. Tacy jak on wykorzystują kobiety. Nie daj się złapać na jego haczyk, bo przegrasz.

Odniosła wrażenie, że w głosie Paula słyszy nutę satysfakcji. Wykorzystała gotujący się czajnik jako pre-

tekst, by na chwilę przerwać tę rozmowę. Drżącymi dłońmi zalała wodą rozpuszczalną kawę. Głowa pulsowała jej tęnym bólem. Musiała przyznać, że tamto małżeństwo wiele wyjaśnia, na przykład jego lekki cynizm, samotność. Pochłania go jedynie praca. A poza tym, czy cokolwiek o nim wie?

Wmawiała sobie, że jego pocałunki muszą coś znaczyć, ale przecież mogła się mylić.

Postawiła na stole dwa kubki z kawą.

- Potrzeba mi więcej czasu, żeby podjąć decyzję dotyczącą mojej całej przeszłości.

- Ile?

- Nie wiem. - Miała wrażenie, że widzi przed sobą zupełnie obcego człowieka. - Do kiedy musisz wiedzieć?

- No, w ciągu sześciu tygodni.

- Sześć tygodni! - Popatrzyła na niego przenikliwie i spytała wolno: - A jeśli zdecyduję, że nie mogę z tobą wyjechać?

- Wolałbym, żebyśmy pojechali razem, ale w końcu zrobisz, co zechcesz.

Na chwilę zapadła cisza.

- Przepraszam, nie mogę jasno myśleć. To wszystko trochę mnie zaskoczyło... Potrzebuję czasu...

- Nie wiedziałem, że wymaga to aż takiego namysłu.

- Nie prosisz mnie o błahostkę. - Podeszła do drzwi i otworzyła je. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym teraz zostać sama.

- Zadzwoń do ciebie.

- Obiecuję zastanowić się, ale nie teraz. Teraz jestem zmęczona i nie potrafię zebrać myśli.

Wyszedł, ostentacyjnie omijając ją wzrokiem. Chyba

nie powinna go za to winić, w głębi serca czuła bowiem, że gdyby go kochała, nie zastanawiałaby się ani chwili.

W dniu festynu Thea odsunęła zasłony w sypialni, spojrzała w jasny poranek z mieszanymi uczuciami i zaczęła krzątać się po domu. Sobota była dniem, w którym zazwyczaj robiła porządki, zakupy, a często mogła także trochę odpocząć.

- Ale nie dzisiaj - wymamrotała. Świetnie obeszlaby się bez konieczności zajmowania się gromadą uroczych, ale rozbrykanych dzieciaków. Przeklęty Joel!

Oficjalne rozpoczęcie festynu miało się odbyć w południe i jeśli chce zdążyć, musi się pospieszyć. Włożyła dzinsy, sweter, kalosze i wyszła nakarmić zwierzęta.

Kiedy nakładała do miski jedzenie, kot Maggie Pemberton podbiegł, żeby się z nią przywitać. Ocierał się o nogi i mrucał głośno.

- Tak, ja też jestem zadowolona, że cię widzę. - Pogłaskała go. - Maggie niedługo wróci i będzie się z tobą bawiła.

Podeszła do klatek. Barney jak zwykle potraktował ją pogardliwie - odwrócił głowę i popatrzył na nią przeciągle swymi ogromnymi, bursztynowymi oczami.

Królik Thumper, przeciwnie, z radością jadł jej z ręki i nadstawiał uszy do pieszczoty.

- No, już dobrze, spokojnie - upomniała królika, podnosząc go, by obejrzeć jego zranioną tylną łapę. - Coraz lepiej. - Umieściła go z powrotem w klatce, a on od razu zakopał się w słomie.

- Widzę, że niedługo nie będę wam potrzebna. - Z uśmiechem pożegnała swoich podopiecznych.

- Trzymam cię za słowo. - Czysty, dźwięczny głos kazał się jej odwrócić. Zrobiła to tak gwałtownie, że wylała wodę z miseczki, którą trzymała w ręku. Przed nią stał Joel, ubrany tak jak zwykle, może trochę porządniej - w rozpiętej pod szyją koszuli, sztruksowych spodniach i odpowiedniej do nich marynarce.

- A niech cię, zobacz, co przez ciebie zrobiłam! Czy musisz zawsze się skradać? - Pochyliła się, by zetrzeć wodę z džinsów, a przy okazji ukryć rumieniec na twarzy.

- Wcale się nie skradałem. Byłaś tak zajęta mówieniem do siebie, że nie usłyszałaś moich kroków. - Rzucił okiem na rząd klitek i ich mieszkańców. - Muszę powiedzieć, że wyglądają całkiem zdrowo.

- Większość z nich jest już zdrowa.

- A więc masz zamiar je wypuścić?

- Boję się, że niektóre nigdy nie wrócą na wolność - odparła. - Czy nie przyszedłeś trochę za wcześnie? Festyn zaczyna się dopiero w południe.

- Przecież zgodziliśmy się spotkać z organizatorami pół godziny przed otwarciem.

Szybko rzuciła okiem na zegarek.

- Och, nie! Kompletnie o tym zapomniałam.

- Lepiej idź się przebrać, a ja tu dokończę.

- No dobrze, tylko uważaj na palce przy Claudii. To ta zielona papuga z długim ogonem. Jest okropnie złośliwa.

- Nic mnie nie zmusi, żebym się do niej zbliżył!

Ich pojawienie się na festynie spowodowało szmer zainteresowania. Pierwsza podeszła do nich roześmiana Helen i zaborczo ujęła Joela pod ramię. Wkrótce otoczył

go tłumek ludzi żartobliwie dopytujących się, czy jest tu przejazdem, czy tym razem zamierza zostać na dłużej.

Thea została porwana przez pozostałych organizatorów i nie dosłyszała odpowiedzi Joela. Zagryzła ze złości wargi i zmusiła się, by z uwagą wysłuchać damy w ogromnym kapeluszu, zachwalającej ogromny wybór domowych win ustawionych na stołach.

Później była tak zajęta doglądaniem dzieci w najrozmaitszym wieku, że nie miała czasu myśleć o Joelu. Jednak od czasu do czasu jego ciemna głowa migała jej gdzieś w tłumie, zawsze otoczona grupą rozmówców.

Wszystko szło wyśmienicie. Goście rozkręcili się podobnie jak miejscowi. Pogoda też dopisała. Thea była zadowolona, że włożyła białe spodnie i marynarską bluzę.

Z uśmiechem wręczyła ostatnią nagrodę w jednym z licznych konkursów dla dzieci i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku skierowała się do samochodu, gdzie sprzedawano lody. Po chwili trzymała w ręku dwa ogromne rożki.

Joel też już kończył. Jeszcze tylko nagroda oraz całus dla autorki najlepszego ciasta i zdjęcie z dzieckiem. Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna trzymający w ramionach słodką dziewczynkę ze złotymi lokami i paluszkami w buzi stanowił widok, który dziwnie ujął ją za serce.

Oddał malucha mamie i ruszył w stronę Thei.

- Pomyślałam, że może chcesz się ochłodzić. - Podała mu jeden rożek.

- Dziękuję. Chodźmy stąd i poszukajmy odrobiny cienia. - Wziął ją pod ramię i poprowadził w kierunku rzędu drzew na skraju pola.

- Nie będą nas szukali?

- Nie sędzę. Zrobiliśmy już, co do nas należy, a teraz możemy chyba robić, co chcemy. - Skrzywił się zabawnie. - O, masz trochę lodów na twarzy. - Delikatnie otarł jej policzek. - Wyglądasz na dwunastolatkę.

Może, ale wcale się tak nie czuła. Uniosła głowę, a on, jakby tylko na to czekał, bez ostrzeżenia ją pocałował. Jestem taka słaba, pomyślała, zupełnie bez charakteru.

Lekкими pocałunkami obsypał jej czoło, oczy, policzki i kiedy ponownie przylgnął wargami do jej ust, nie myślała już o oporze. Gładził jej włosy, przyciągając ją coraz bliżej, a jej ciało odpowiadało bez wahania. Wiedziała, że to szaleństwo, ale pozbawił ją wszelkiej siły woli.

Czar prysł, gdy nagle odsunął się od niej. Drżąc z zażenowania, dotknęła dłonią swych warg, na których wciąż czuła jego pocałunki.

Joel wydał z siebie dziwny dźwięk i zmienił się na twarzy. Podążyła za jego wzrokiem i zobaczyła lody spływające po jego białej koszuli. Jęknęła.

- Tylko nic nie mów - uprzedził ją.

Czuła, że jeśli się odezwie, on udusi ją gołymi rękami, tymi samymi, które jeszcze przed chwilą przyprawiły ją o cudowne dreszcze.

- Przepraszam...

- Jak to jest, że kiedy tylko zbliżę się do ciebie, cały świat zaczyna walić mi się na głowę - jęknął. - Najpierw, kiedy cię poznałem, zostałem przywalony stosem pudeł, potem prawie straciłem nogę, mój samochód niemal został zgnieciony...

- Ale nie został.

- Nie kuś losu - ostrzegł ją. - Od chwili, kiedy się tu pojawiłem, nie robisz nic innego, tylko burzysz mi spo-

kój. Ty i te twoje cholerne zwierzaki zakłóacie moją prywatność...

- One nie są wcale cholerne - zaproponowała oburzona. - Przynajmniej zachowują się, jak na dzikie zwierzęta, w cywilizowany sposób.

- Cywilizowany! Czy mówisz o tej paranoicznej papudze ludożercy?

Zesztywniała ze złości.

- A co ma zrobić, kiedy ktoś pcha jej paluchy do klatki? Ja nie prosiłam o to, żeby mieć za sąsiada takiego... maniaka.

- Maniaka?

- Fanatycznie nienawidzącego zwierząt i...

Nie dokończyła, gdyż chwycił ją z całych sił i mocno przycisnął do siebie.

- Na czym to polega, że marzę o tym, żeby cię jednocześnie całować i dusić - wyrzucił z siebie podniesionym głosem. - Jesteś jak cholerny cierni pod skórą, wciąż mnie drażnisz.

Thea patrzyła na niego kompletnie oszołomiona, a on znów pochylił głowę i znów ją pocałował.

- Musisz wiedzieć, że bardzo cię pragnę - powiedział i znów ją odsunął.

Coś zrobiłam nie tak, pomyślała.

Joel cicho zaklął po nosem i dopiero wtedy zorientowała się, że nie są sami.

- Doktorze, dzięki Bogu, że pana znalazłam. - Jane Watts, przewodnicząca komitetu organizacyjnego, rzuciła Thei krótkie spojrzenie. - Jest pan natychmiast potrzebny w namiocie pierwszej pomocy.

- Co się stało? - Przybrał profesjonalny ton.



- Bill Parker. Przewrócił się. Wygląda to naprawdę niedobrze.
- Już idę. Czy znalazła pani doktora Prescottta?
- Widziałam go jakiś czas temu. Wchodził do namiotu z piwem.
- W takim razie chodź ze mną, Theo - polecił zdecydowanie.
- Ale...
- Mogę potrzebować pomocy. Znasz się na zwierzętach, a ludzie wcale tak bardzo się od nich nie różnią.

Bill Parker, otyły mężczyzna około sześćdziesiątki, leżał w namiocie na czyimś płaszczu. Jego twarz była śmiertelnie blada, miał zamknięte oczy i oddychał płytko.

- Czy ktoś wezwał karetkę? - rzucił Joel, kłękając i rozluźniając mężczyźnie krawat.
  - Już jedzie - odparła młoda sanitariuszka.
  - Czy wie pani dokładnie, co się wydarzyło?
- Dziewczyna pokręciła głową.
- Po prostu nagle upadł, trzymając się kurczowo za ramię. Czy to atak serca?
  - Na to wygląda. - Joel badał puls mężczyzny. - Moja torba lekarska jest w samochodzie.
  - Przyniosę ją. - Thea rzuciła się pędem i po chwili była z powrotem, w biegu wyjmując stetoskop.
  - Dzięki - mruknął Joel, uważnie badając chorego.
  - Nazywa się Parker?
  - Bill Parker - odparła dziewczyna. - Ma farmę w Trevannic i nikt go tu zbyt dobrze nie zna.
  - Cholera, chciałbym się czegoś o nim dowiedzieć. Może ma jakichś krewnych?

- Nie - wtrąciła Thea. - Znam go. Jego żona umarła kilka lat temu i mieszka sam. Badałam kiedyś jego bydło. Twarz Joela stężała.

- A wiesz może, czy brał jakieś lekarstwa i czy leczył się na serce?

Thea zmarszczyła brwi.

- Coś mi wspominał... Narzekał, że twój wuj kazał mu iść do specjalisty. Chyba nie przepadał za lekarzami i uważał, że na wszystko najlepsze jest świeże powietrze.

- Do diabła, nie oddycha!

Thea instynktownie rzuciła się na pomoc, odchyliła głowę mężczyzny do tyłu i oczyściła drogi oddechowe, Joel tymczasem rozpoczął masaż serca.

Po chwili pot zalewał mu twarz.

- Raz... dwa... trzy... Gdzie jest ten oddech?

- Zastąpię cię na chwilę.

Pokręcił głową.

- To nie pomaga, spróbuj zrobić mu sztuczne oddychanie.

Thea powoli wpompowywała powietrze do płuc mężczyzny, aż poczuła, że klatka się unosi.

- Mam puls! Człowieku, oddychaj, karetka już jest.

Thea z trudem stanęła na miękkich nogach, robiąc drogę dla sanitariuszy.

Czekała, aż Joel wszystko im wyjaśni. Po chwili karetka ruszyła w drogę, a ludzie powoli zaczęli się rozchodzić.

- Chodź, zawiozę cię do domu.

- Nie trzeba, naprawdę...

- Nie upieraj się, to był ciężki dzień i marzę o przyszniku i drinku.

Dopiero gdy samochód stanął, Thea zdała sobie sprawę, że podjechali pod jego dom, a nie pod jej.

- Chcę jak najszybciej zadzwonić do szpitala i porozmawiać z Davidem Western o Parkerze. Wszystko wskazuje na to, że to ja jestem jego lekarzem rodzinnym. Dlaczego, do diabła, nie pokazał się nigdy u mnie?

- Bill należy do ludzi, którzy nie lubią zawracać innym głowy. Może zresztą dobrze się czuł?

Joel rzucił marynarkę na najbliższe krzesło.

- Przygotuj drinki - poprosił i zniknął w gabinecie.

Nalała mu dużą porcję brandy, sobie zaś niniejszą. Pociągnęła łyczek i rozejrzała się wokół. Ładny pokój. Podobał się jej już wcześniej, za życia Boba, a teraz jeszcze i Joel odcisnął na nim swe piętno. Przybyło kilka rzędów książek i parę antyków, troskliwie dobranych i dodających pokojowi uroku. Lampa na lśniącym blacie stolika z różanego drewna, piękny bukiet suchych kwiatów przy kominku. Dotknęła ich płatków.

- To nie moja kompozycja. - Nie usłyszała, kiedy wrócił. - Przepraszam, że tak długo to trwało, ale wzięłem prysznic. - Sięgnął po brandy.

- Czy są już jakieś wiadomości o Billu? - spytała.

- Jeszcze trochę za wcześnie, ale w każdym razie żyje.

- Dzięki tobie. - Postawiła kieliszek na stole.

- I tobie. - Odstawił swoją brandy obok.

- Nie zrobiłam nic specjalnego.

- To nieprawda. - Stał z rękoma w kieszeniach i przyglądał się jej. - Dlaczego nie poszłaś na medycynę? Byłabyś dobra. Masz charakter i nie wpadasz w panikę.

- Skończyłam medycynę - przypomniała mu, zadowolona z jego niespodziewanej pochwały.

- Mam na myśli leczenie ludzi.

Lekko wzruszyła ramionami.

- Zwierzęta też potrzebują opieki. W pewnym sensie są bardziej narażone na cierpienia niż ludzie. Nie potrafią powiedzieć, że są chore, mogą to tylko pokazać swoim zachowaniem.

Joel nie spuszczał z niej wzroku. Thea dostrzegła, jak tężeją jego mięśnie i zafascynowana wpatrywała się w jego oczy. Podszedł bliżej i wziął jej twarz w dłonie.

- Chcę cię. Bóg jeden wie, jak bardzo z tym walczyłem, ale nic dobrego z tego nie wynikło. Chcę się z tobą kochać, trzymać cię w ramionach, czuć cię... Nie odchodź - mówił cicho. - Zostań.

- Ja... - Głos jej się łamał. - To nie to, że nie chcę... Tylko...

- Zaufaj mi, proszę...

Ona też pragnęła go rozpaczliwie. Jego ramiona objęły ją mocniej, a wargi wędrowały po szyi, twarzy i oczach, aż dotarły do jej ust z pasją, która pozbawiła oddechu ich obydwójce.

- Czy ty masz pojęcie, jak bardzo cię pragnę? - wyszeptał jej do ucha.

- Ja też. - Nie poznawała swego głosu. Odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy. Wtem zamarła: ktoś puknął do drzwi.

- O, Boże... Musimy porozmawiać. Nie wychodź - powiedział szorstko. - Ktokolwiek to jest, zaraz się go pozbędę.

Kręciło się jej w głowie, a w całym ciele czuła tępy

ból nie spełnionego pożądanego. Trzęsącymi się dłońmi usiłowała poprawić bluzkę.

Joel poszedł otworzyć drzwi.

Dobiegł ją przytłumiony głos:

- ...w porządku. Chyba możemy sobie pogratulować. - Helen weszła do pokoju. - Nie wiedziałam, że masz gościa. Powiedziałeś, o ósmej... - Urwała, a serce Thei ścisnęło się boleśnie. Wzięła swoją torbę i ruszyła w stronę drzwi.

- Thea, poczekaj... - Joel dogonił ją przy wyjściu i chwycił za ramię.

Ten krótki kontakt znów rozbudził w niej pragnienia, które tak gwałtownie usiłowała zwalczyć. Zaczepnęła głęboko powietrza i wyrwała się.

- Proszę cię, ja tego nie wytrzymam! Idź lepiej i zajmij się swoim gościem.

- Zadzwoń do ciebie.

- Dobranoc - wydusiła z trudem i wyszła. W oczach piekły ją łzy.

Zaufaj mi, powiedział, i na chwilę tak się stało. I co? Paul miał rację, Joel to podrywacz. Wykorzystałby ją, a ona by mu na to pozwoliła, zapomniawszy o Helen. Brnąc w ciemnościach, trzęsła się ze wstydu i poniżenia. Chwała Bogu, na czas oprzytomniała. Przynajmniej za to powinna być wdzięczna Helen.

Dlaczego więc czuje się taka oszukana?

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Dwa dni później Thea jechała drogą wzdłuż wybrzeża. Wracała z farm w głębi wyspy. Blade słońce z trudem przedzierało się przez mgłę, co nie poprawiało jej nastroju.

Kiedy nareszcie wróciła do lecznicy, okazało się, że poczekalnia jest pusta.

- Cześć - powitała ją Karen. - Miałaś ciężki ranek?

- Można tak powiedzieć. Wszystko szło dobrze, zanim nie przyjechałam do Walta Mortimera.

- A co się stało?

- Dwa cielaki mają rozwolnienie. Dziwi mnie tylko, dlaczego dopiero teraz. Trzyma zwierzęta w okropnych warunkach, w zimnej, śmierdzącej, wilgotnej obórce. Ten człowiek powinien dawno przestać zajmować się hodowlą.

Karen zaśmiała się krótko.

- Spróbuj mu to powiedzieć.

- Próbowałam - odparła z kwaśnym uśmiechem. - Nie na wiele się zdało.

- Udało ci się jakoś pomóc?

- Zrobiłam mu wykład, który wpuścił jednym uchem, a wypuścił drugim, no i zostawiłam leki. Nie zdziwię się, jeśli za parę dni znów zadzwoni. Chwała Bogu, że mamy tu coraz mniej takich gospodarzy jak on.

- Może napijesz się kawy?
- Chętnie. Czy Andrew już wyszedł?
- Tak, jakieś piętnaście minut temu. Mamrotał coś o zakupach, które musi robić w ostatniej chwili i o tym, że zapomniał kupić wino, czy coś takiego. Idziesz na to przyjęcie? Zapraszali mnie, ale niestety byłam już umówiona. Strasznie żałuję.

Thea skinęła głową, z radością przyjmując kubek z parującą kawą.

- Nie mogę się doczekać. Od wieków nie widziałam Joannę i chłopców. A przy okazji, czy ktoś zostawił dla mnie jakąś wiadomość?

Karen zajrzała do notatek.

- Tak... Dzwonił doktor Forrester.

Thea wstrzymała oddech. W ostatnich dniach przesładował ją obraz Joela z Helen. Starła się wyrzucić go z pamięci, bo zbyt to wszystko bolało. W końcu powiedziała sobie, że najlepiej się niczym nie przejmować.

- Co mówił?
- Prosił, żebyś zadzwoniła do niego do gabinetu.
- Teraz? - Thea z rozpaczą spojrzała na zegarek.
- Mówił, że będzie w pracy do południa.
- No dobrze. Dziękuję, Karen.

Poszła do siebie i wykrciła numer. Ktoś z drugiej strony natychmiast podniósł słuchawkę, jakby czekał.

- Słucham.
- Joel, tu Thea.
- Wiem.
- Prosiłeś o telefon.

W słuchawce na chwilę zapadła cisza.

- Chyba nie podziękowałem ci odpowiednio za to, co zrobiłaś.

- Z pewnością miałeś na głowie ważniejsze sprawy - odpowiedziała lekko. - Poza tym, nie ma za co. Czy coś jeszcze, bo jestem zajęta?

- Theo, poczekaj!

Z trudem przełknęła ślinę. Dźwięk jego głosu obudził w jej pamięci niechciane wspomnienia.

- Ja mówiłem poważnie. Musimy porozmawiać.

- Nie ma o czym. - Z trudem walczyła z ogarniającą ją paniką. Co z oczu, to i z serca.

- Jesteś szalona, wiesz o tym? - wyszeptał miękko.

Oparła głowę o ścianę i przymknęła oczy. Nie rób mi tego, błagała go w duchu.

- Musimy się zobaczyć - szeptał jej dalej do ucha.

Wyobrażała sobie jego wargi, wrażliwe i niebezpieczne...

- Boisz się mnie, Theo? - Słyszała jego oddech.

Niestety, było to bliskie prawdy.

- Dziś jestem zajęta. - Marzyła, by ziemia rozstąpiła się pod jej stopami, kiedy to mówiła.

- To się zdarza. Ja też jestem dziś zajęty.

Bez wątpienia z uroczą Helen. Poczowała, jakby ktoś wylał jej na głowę wiadro zimnej wody. Oprzytomniała.

- Muszę wracać do pracy. A przy okazji - przekaz moje pozdrowienia pannie Crawford.

Nie musiała czekać na efekt swych słów. Joel jęknął z rozpaczą, a ona odłożyła słuchawkę i śmiejąc się poszła do samochodu.



Paul patrzył na nią z zachwytem, gdy wyłoniwszy się z łazienki, okręciła się przed nim jak baletnica.

- Nie miałam czego na siebie włożyć, więc poszłam i kupiłam sobie to! - Zatrzymała się i spojrzała na niego niepewnie. - Nie jest zbyt elegancka na zwykłe przyjęcie?

- Jest idealna. - Wziął ją w ramiona i pocałował. Odpowiedziała mu tym samym.

Nie zamierzała pozwolić, by Joel popsuł jej wieczór. Jednocześnie jednak intrygowało ją, co powiedziałyby o tej nowej sukience w kolorze burgunda, opinającej talię i biodra. Sięgała kolan, miała półokrągły dekolt i do tego żakiet. Thea zakochała się w niej, gdy tylko zobaczyła ją w sklepie. Teraz jednak ogarnęły ją wątpliwości.

Na pewno nie był to strój w jej stylu. Może podświadomie zbuntowała się przeciwko praktycznym, na co dzień noszonym dżinsom i swetrom? W głębi duszy wiedziała jednak, że kupiła tę suknię dla Joela. Absurdalne, skoro go na tym przyjęciu nie będzie.

Westchnęła cicho i Paul znów ją pocałował.

- Wyglądasz tak wspaniale, że odechciało mi się iść na ten głupi spęd. Wolałbym cię mieć tylko dla siebie.

Z uśmiechem odwzajemniła pocałunek.

- Musimy iść.

Zsunął żakiet i zaczął gładzić jej odkryte ramiona.

- Jeśli odkładam to na inny dzień, to tylko dlatego, że chcę, żeby wszystko się między nami ułożyło. Wiesz, że cię kocham?

- Tak, oczywiście. - Myśl, że będzie przy niej, dawała jej poczucie psychicznego komfortu.

Paul jakby wyczuwając w niej zmianę, zaczął cało-

wać ją coraz bardziej zapamiętała. Stała bez ruchu, czując, jak nieokreślony lęk ściska jej gardło. Dlaczego tak trudno jest podjąć decyzję?

Odsunęła go delikatnie.

- Może lepiej chodźmy? Andrew i Joannę spodziewają się nas za pół godziny.

Puścił ją z ociąganiem.

- Tak się cieszę, że jesteście - powitała ich Joannę z wyraźną radością. Wysoka, ciemnowłosa, licząca około trzydziestu pięciu lat, wyglądała bardzo ładnie w miękkiej sukni z angory. Podniosła głos, aby przekrzyczeć muzykę. - Wiem, że to śmieszne, ale jestem okropnie zdenerwowana.

- Nie codziennie świętuje się dziesiątą rocznicę ślubu. - Thea wręczyła jej bukiet kwiatów.

- Jakie piękne! - Joannę wciągnęła ich zapach. - Wejdźcie do środka, pijcie i bawcie się. Znacie chyba wszystkich. Postanowiliśmy zaprosić tylko najbliższych przyjaciół. To Alice i Ben Grant, przyjaciele jeszcze z czasów studiów.

Nagle Thea dostrzegła wśród zebranych Joela. W ciemnym garniturze wyglądał wspaniale, a obok niego stała Helen Crawford, niesłychanie atrakcyjna, w sukni kupionej na pewno nie w tym miasteczku.

Zamarła, lecz w tym momencie zbliżył się do nich Andrew.

- Chyba nie muszę wam przedstawiać Joela ani Helen.

Sztywno się przywitani. Thea znieruchomiała, gdy błyszczące oczy Joela spoczęły na niej i zaczęły powol-

na lustrację. Jej ciało reagowało tak, jakby jej dotykał. Przymknęła oczy, żeby go nie widzieć.

- W kuchni już wszystko gotowe - usłyszała głos Joannę. - Chyba pora na aperitify. Czego się napijecie?

- Poproszę sherry. Wytrawne. Ja tylko... - Thea spojrzała na Paula. - Za chwilę do ciebie dołączę.

Wycofała się pospiesznie. W łazience przez chwilę stała oparta o drzwi, dopóki nie przestały jej się trząść nogi. Jak mogła się nie domyślić, że Joel tu będzie. Przecież Andrew znał go od dawna. Westchnęła. Wszystko wymyka się jej z rąk, a przed nią cały wieczór. Będzie musiała jakoś go przetrwać, uśmiechając się i zachowując uprzejmie.

Kiedy wróciła, Paul rozmawiał z Alice Grant, a Joannę z państwem Thomas, właścicielami miejscowego sklepu. Andrew pokazywał Helen zdjęcia z wakacji, pozostawiając Joelowi kieliszek sherry dla Thei. Wzięła go ostrożnie z jego ręki, aby uniknąć najmniejszego fizycznego kontaktu.

- Kiedy powiedziałaś, że wychodzisz dziś wieczorem, nie przyszło mi do głowy, że wybierasz się tutaj - odezwała się sztywno.

- A czy to ma jakieś znaczenie? Chyba obydwoje jesteśmy tu dlatego, że Joannę i Andrew są naszymi przyjaciółmi, a nie z jakichś innych ukrytych powodów. Nie mam zamiaru się na ciebie rzucać, bez względu na to, jak bardzo bym chciał. Na wszystko jest odpowiedni czas i miejsce.

Jasne, że nie ma zamiaru. Z uroczą Helen przy boku! Mimo to poczuła na twarzy gorące rumieńce.

- Porozmawiamy jeszcze, Theo.

Z ulgą usłyszała, że Joannę zaprasza ich do stołu. Joel podał jej ramię, wprawiając tym samym w popłoch. Szybko jednak uspokoiła się, gdy koło nich wyrósł Paul i przejął nad nią opiekę.

Przez resztę wieczoru siedziała naprzeciwko Joela i z trudem mogła cokolwiek przełknąć. Na szczęście kierował rozmową tak, że nikt nie zwracał na nią uwagi.

- No i jak się tu urządziłeś? - zapytała go Alice, nakładając sobie jarzyny. - Słyszałam, że byłeś za granicą. Szczęściarz z ciebie.

Joel roześmiał się.

- Tak, przez ostatnie trzy lata.

- Trudno ci się teraz pewno przyzwyczaić do naszej małej miejsciny.

- No, nie wiem. - Paul jednym haustem opróżnił swój kieliszek. - Niektórzy lubią być grubą rybą w małym stawie. Zwłaszcza kiedy przyjechało się na gotowe.

Przy stole zapadło niezręczne milczenie.

- Tak, Bob był tu bardzo lubiany. I chyba mamy szczęście, że znalazł się ktoś, kto może go zastąpić. - Thea starała się rozładować atmosferę.

- Z pewnością, powinniśmy być bardzo zadowoleni... - Paul skrzywił się, patrząc na pusty kieliszek. - Słyszałem, że świetnie się żyje w Kanadzie. Może byśmy też spróbowali, Theo? Co o tym myślisz, Forrester? Daj nam dobrą radę.

Oczy Joela zwięziły się.

- Ten kraj stwarza ogromne możliwości dla tych, którzy chcą ciężko pracować.

- Nie boję się ciężkiej pracy, oczywiście, jeśli jest godziwie wynagradzana. - Paul niespodziewanie wziął

Theę za rękę. - Ostatnio dużo się nad tym zastanawialiśmy, prawda, kochanie?

Z trudem opanowała złość.

- To trudna decyzja - powiedziała spokojnie. - Wymaga czasu.

Przy drugim końcu stołu Joannę chichotała, rozmawiając z Fay Thomas. Przynajmniej ona się dobrze bawi, pomyślała Thea.

Na deser podano galaretkę w zamrożonych pucharach. Thea leniwie bawiła się łyżeczką i z coraz większym przygnębieniem obserwowała, jak Paul napełnia znowu kieliszek. Może to zmęczenie sprawiło, że tak łatwo się irytuje?

Z prawdziwą ulgą przyjęła propozycję przejścia na kawę do drugiego pokoju. Nie mogła jednak nie dostrzec zaborczego gestu, z jakim Helen ujęła Joela pod ramię. Tak jakby sięgała po swoją własność.

Tacę ze świeżo zaparzoną kawą postawiono na niskim stoliku. Thea pierwsza znalazła się przy niej i szybko sięgnęła po filiżankę, zastanawiając się, ile czasu musi jeszcze wytrzymać, zanim będzie mogła wyjść, nie pełniąc towarzyskiej gąfy.

- Zostaw to. - Paul nagle chwycił ją za ramiona.  
- Boże, czy my nigdy nie będziemy sami?!

Z niepokojem spojrzała na drzwi.

- Zaraz wszyscy tu przyjdą.

- Do diabła z wszystkimi! Wystarczy, że przez cały dzień muszę słuchać tego nadętego bałwana. Nie zamierzam przejmować się nim jeszcze po pracy. - Wziął filiżankę z jej rąk i odstawił na tacę. - A nawet jeśli wejdą? Przecież jesteśmy parą.

- To nie znaczy, że musimy się z tym obnosić.

- Sam nie wiem, co się ze mną dzieje - przyznał ponuro. - Ilekroć go widzę, ponosi mnie. Pewnie jestem zazdrosny.

- Zazdrosny? - Próbowała się roześmiać.

- To przez to, jak on na ciebie patrzy. - Wziął jej twarz w dłonie, pochylił się nad nią i pocałował. - Wiem, obiecałem, że nie będę cię ponaglał, ale to czekanie doprowadza mnie do szału. Muszę wiedzieć, co postanowiłaś.

- Obiecałeś dać mi czas...

- Ile ci go w końcu potrzeba? - Był wyraźnie zły. Zostawił ją i podszedł do barku. - Do diabła z kawą, muszę się czegoś napić.

Zobaczyła, jak nalewa sobie sporą porcję i postanowiła taktownie go powstrzymać, a poza tym nie mogła już się doczekać, kiedy znajdzie się w domu.

- Może powinniśmy wyjść? Masz rację, jeśli mam się poważnie zastanowić, potrzebny mi jest spokój.

Paul spojrział ponuro na kieliszek, odstawił go i położył ręce na jej ramionach.

- Powiedz tylko: tak. To takie proste.

Serce zabiło jej boleśnie. To zmęczenie, pomyślała, zbliżając usta do jego warg. Nie potrafiła połapać się w swoich uczuciach. Bardzo lubiła Paula, ale czy to wystarczy?

Gdyby zaniknęła oczy i udawała, że to Joel... Wargi zdrzały jej z podniecenia i po chwili wahania Paul odpowiedział jej gorącym pocałunkiem.

- Powiedz, że ze mną pojedziesz. Powiedz, że za mnie wyjdiesz!

Nastrój prysł jak bańka mydlana. Chciała mu powiedzieć to, o co prosił, ale słowa nie mogły przejść jej przez gardło. Nagle dotarła do niej cała prawda - nie kocha Paula.

Rozejrzała się w panice i natychmiast spostrzegła w drzwiach Joela. Patrzył na nią szyderczo.

- Wybacz mi - odezwał się lodowatym głosem. - Chyba wszedłem w nieodpowiednim momencie.

Otworzyła usta, by coś wyjaśnić, ale było za późno. Paul chwycił ją za ramię i popychał w stronę drzwi.

- Nie przejmuj się. - Głos Paula był trochę niewyraźny. - Właśnie wychodziliśmy. Thea nie czuje się dziś najlepiej, prawda, kochanie?

Pożegnali się pospiesznie i po chwili znaleźli się na dworze.

- Proszę cię, Paul...

Zaczęło padać. Drżała z zimna, idąc za nim do samochodu, a później czekając, aż znajdzie kluczyki. Kiedy już je miał, natychmiast upadły na ziemię i Thea pojęła, że nie jest trzeźwy.

- Może ja poprowadzę?

- Nie jestem pijany, jeśli to właśnie masz na myśli.

- Mam nadzieję, że nie zamierzasz jechać w tym stanie, Prescott - usłyszała w ciemnościach chłodny głos Joela. - Jeśli tak, to nie radzę.

- Czego... - Paul znowu upuścił kluczyki. - Nie rozumiem, co insynuujesz, Forrester. Thea, wsiadaj!

- Niczego nie insynuuję, wszystko jest oczywiste.

- Joel ujął Theę za ramię. - Odwiozę cię do domu.

- Nie trzeba, mogę się przejść - odparła z ulgą. On jednak nie puścił jej ramienia.

- Jeśli chcesz, możesz ryzykować własnym życiem, Prescott, ale miej tyle przyzwoitości, żeby nie narażać innych.

- Z przyjemnością się przejdę - powtórzyła.

- Nie jestem w nastroju do kłótni. - Wciąż ściskając jej ramię, Joel zaprowadził ją do swego samochodu. Gdy tylko zapadła w miękki, skórzany fotel, poczuła, że boli ją głowa i jest zbyt słaba, by protestować.

- Nie masz prawa się wtrącać! - wybuchnął Paul.  
- Theo, chodź!

Z jakichś powodów nie miała siły, by odpowiedzieć na jego wezwanie.

- Sam najlepiej idź na spacer. Może wytrzeźwiejesz - poradził mu Joel i zapalił silnik. - Biorę na siebie dzisiejszy dyżur, bo ty chyba nie jesteś w stanie - dodał.

Thea nieświadomie obrzuciła Paula pełnym wyrzutem spojrzeniem. Chyba się przesłyszała. To niemożliwe, aby dziś przypadał jego dyżur przy telefonie!

Nie musiała go pytać, odpowiedź miał wypisaną na twarzy. Oparła głowę na siedzeniu i zamknęła oczy, by nie widzieć oblewającego go rumieńca wstydu. I tak jednak musiała wysłuchać jego niezręcznych tłumaczeń.

Nie patrząc na żadne z nich, Joel wyprowadził samochód na szosę, zwracając się szorstko do Thei:

- Zwariowałaś? Nie widziałaś; że jest pijany? Miałaś szczęście, że przyszedłem.

Z wściekłością zacisnęła zęby. On znów to robi, panoszy się, nie pytając jej o zgodę.

- Nic by mi się nie stało. Nie musiałeś się wtrącać.



- Spojrzała na niego tak wojowniczo, że w kąciku jego warg pojawił się uśmiech.

- Uważasz, że powinienem po prostu stać spokojnie i pozwolić mu cię zabić?

W półmroku dostrzegła jego spojrzenie.

- Nie wiedziałam, że jest aż tak pijany. Wypił tylko dwa kieliszki wina i brandy.

- To i tak za dużo; poza tym tylko tyle widziałas. A ile wypił, zanim do ciebie przyjechał?

Pytanie to wzmogło dręczące ją od jakiegoś czasu wątpliwości.

- Mimo to trafiłabym jakoś do domu. Poza tym - nie mogła się opanować - czy Helen nie będzie się niepokoiła, kiedy okaże się, że ją opuściłeś? Chyba nie o tym marzyła.

- Niech cię o to głowa nie boli - powiedział spokojnie. - Helen to niezależna dziewczyna i potrafi znaleźć drogę do domu.

Powstrzymała okrzyk niedowierzania. Jak on może być tak nonszalancki? Oczywiście, to lata praktyki, powiedziała sobie, wpatrując się w szybę nie widzącym wzrokiem.

W milczeniu przebyli resztę drogi i zatrzymali się pod jej domem. Sięgnęła do klamki i z przerażeniem dostrzegła, że Joel odpina pasy. Jeszcze przez chwilę miała nadzieję, że mimo wszystko uda się jej uciec, ale on wysiadł i podszedł do niej.

- Dziękuję za podwiezienie - powiedziała słabym głosem. - Jestem zmęczona, dobranoc.

- Nie mam zwyczaju porzucać kobiet pod drzwiami, a poza tym to chyba dobra okazja, żeby zobaczyć Wellicie'ego.

Tłumiąc niepokój, pozwoliła mu wejść. Jess sennie zaszczełała z kuchni.

- Ładny z ciebie stróż. - Thea położyła torebkę na stole i podrapała psa za uchem. Nie potrafiła powstrzymać śmiechu, patrząc jak Wellie, wymachując ogonem, wygrzebał się z koszyka i rzucił w stronę Joela.

Ten przykucnął, by pogłaskać labradora.

- Cześć, staruszk. Cieszysz się, że mnie widzisz? Mnie też cię brakowało. - Uniósł głowę. - Wygląda wspaniale!

- Jeszcze nie wyszedł na prostą, ale musisz pamiętać o jego wieku. W każdym razie nic go nie boli i wydaje się zadowolony. W gruncie rzeczy nie widzę powodu, żebyś nie mógł zabrać go do domu. Przygotuję kawę.

- Aż boję się uwierzyć w tak wielką poprawę. - Joel wstał i patrzył, jak Thea krząta się po kuchni. - Jeszcze parę dni temu nie dawałem mu wielkich szans.

- To wszystko dzięki dobremu, starym antybiotykum. - Podała mu filiżankę.

- Obydwoje wiemy, że to coś więcej. Wykonałaś świetną robotę i jestem ci bardzo wdzięczny. - Wziął ją za rękę i serce Thei gwałtownie zabiło. Czyżby wypita za dużo wina? To może się okazać bardzo niebezpieczne.

- Theo... Nie uciekaj ode mnie. - Jego głos był nierówny. Przyciągnął ją do siebie i objął dłońmi jej szczupłe plecy.

Spojrzała na niego i poczuła, jak przebiega przez nią dreszcz. Nigdy by głośno nie przyznała, jak bardzo to lubi, tę czystą zmysłowość, zwierzęcy magnetyzm rozplamieniający jej ciało.

- Joel...

- Tak?
- Proszę, nie. Jestem zażenowana...
- Wiesz, że cię nie skrzywdzę.

Z premedytacją - może i nie, pomyślała.

- Czy wiesz, jak działasz na mnie? - spytał.

Skąd miałyby wiedzieć? Jęknęła, gdy zaczął ją całować. To było niezwykle elektryzujące. Wahala się tylko przez chwilę, a potem poddała się, przestała kontrolować swoje ciało i poczuła wszystkie drżące w nim siły vitalne. Do tego nowego uczucia dołączyło następne, równie zaskakujące: kocha Joela!

- Pragnę cię - szeptał, obsypując ją pocałunkami.

Zsunął żakiet z jej ramion, a potem zatrzymał rękę na jej piersi. Nie była w stanie myśleć rozsądnie. Jej ciało bez wytchnienia dążyło do zaspokojenia. Nagle Joel wypuścił ją z objęć i gwałtownie zaklął. Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że ktoś dobija się do drzwi.

- Otworzę - rzucił krótko.

Drżącymi palcami usiłowała doprowadzić się do porządku, nasłuchując niewyraźnych głosów dobiegających z holu.

Joel wrócił z poważnym wyrazem twarzy.

- Kto to był?
- Wypadek - powiedział, a Thea poczuła skurcz serca. - Paul. Rozbił samochód. Jest teraz w szpitalu.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Muszę do niego jechać.
- Zawiozę cię.
- . W milczeniu poszli do samochodu.
  - Czy wiesz, co się stało? - spytała, gdy ruszali. - Skąd policja wiedziała, że to mnie należy zawiadomić?
  - Wszystko wydarzyło się blisko domu Andrew. Wygląda na to, że Paul wpadł w poślizg na mokrej nawierzchni i uderzył w drzewo. Przejeżdżający drogą motocyklista podjechał do Tylerów, żeby wezwać pomoc.
  - Czy Paul... czy jest poważnie ranny?
  - Policjanci mi nie powiedzieli, ale skoro sam podałem im twój adres, pewnie nie jest tak źle.
  - Powinam była z nim zostać - powiedziała, wpatrując się w ciemność.
  - A to dlaczego? - Przeszył ją spojrzeniem. - Masz szczęście, że żyjesz. On nie powinien prowadzić, był pijany. Ty to wiesz, ja to wiem, i policja zapewne też.
- Jeśli nawet miała coś do powiedzenia w obronie Paula, powstrzymała się. To prawda, był pijany. Może jednak za słabo próbowali go zatrzymać.
  - Poczekaj na mnie. - Gdy znaleźli się w szpitalu, Joel posadził ją na krzesło w korytarzu. - Poszukam pie-

łęgniarki. - Po chwili pojawił się z kobietą w niebieskim stroju szpitalnym.

- Proszę do mojego pokoju. - Z uśmiechem wskazała drogę. - Nazywam się Louise Jackson.

- Czy mogę zobaczyć Paula?

- Przykro mi - uśmiechnęła się z sympatią - ale jest dosyć późno. Pan Prescott jest już na oddziale i powinien teraz odpocząć.

- W jakim jest stanie? - zapytał Joel.

- Zaraz sprawdzę. - Sięgnęła do książki przyjęć. - Ma wielkiego guza, ale prześwietlenie nie wykazało uszkodzeń czaszki. Można więc przypuszczać, że jutro będzie go upiornie bolała głowa. Poza tym ma potłuczone ramię i zwichnięty nadgarstek. - Uśmiechnęła się do Thei. - Przez pewien czas nie będzie mógł startować w wyścigach samochodowych, ale to nic poważnego. Radzę wrócić do domu i się przespać.

- Da mi pani znać, gdyby...

- Mam numer telefonu doktora Forrestera. - Spojrzała wymownie na zegarek. - A teraz przepraszam, czekamy na karetkę...

- Nic mu nie będzie - powiedział Joel w samochodzie.  
- Miał szczęście. Niektórzy płacą za to wyższą cenę.

Thea rozplakała się.

- Przecież to nie koniec świata. - Joel podał jej chusteczkę. - Będzie posiniaczony i przez chwilę wyłączony z życia, ale to wszystko. Ciesz się, że nie skończyło się gorzej i że nikt więcej nie ucierpiał.

- Jak to dobrze zawsze umieć zachować zimną krew - prychnęła. - Ty to umiesz, prawda? Nic na tobie nie

robi wrażenia. Nie widzisz ludzi, tylko pacjentów, przypadki... Nigdy nie lubiłeś Paula, przyznaj uczciwie. Właściwie wcale mnie nie dziwi jego dzisiejsze zachowanie. Jeśli wziąć pod uwagę napięcie, w jakim żyje...

- Nie wiesz sama, co mówisz - uciał krótko i zatrzymał samochód. - Spróbuj się teraz przespać, a jutro na pewno zobaczysz wszystko w innym świetle.

- Oczywiście, tobie to nie spędzi snu z powiek. Ty masz czyste sumienie.

Twarz Joela pociemniała.

- Nie jestem odpowiedzialny za jego głupotę.

- Obydwoje powinniśmy czuć się winni! Gdybyś mnie nie powstrzymał, wsiałabym z nim do samochodu i może mogłabym przywołać go do porządku.

Spojrzał na nią uważnie.

- Czy myślisz o Paulu, kiedy trzymam cię w ramionach, Theo?

- Dlaczego...

Chwycił ją za rękę.

- To niezbyt przyjemnie spojrzeć prawdzie w oczy, tak? Przyznaj się: gdyby ci na nim rzeczywiście zależało, inaczej byś na mnie reagowała.

- To nieprawda.

- Prawda. Bądź uczciwa. Nie kochasz go i nigdy nie kochałaś. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował tak, że straciła oddech.

Wyrwała się, dysząc ciężko.

- To nieprawda!

Nie chciała nawet o tym myśleć! Paul potrzebował jej tak, jak nigdy nie będzie potrzebował jej Joel.

Później, już w nocnej koszuli, podeszła do okna w sy-

pialni i stała w ciemnościach. Noc była zimna i czysta, między drzewami prześwitywały światła sąsiedniego domu. Odwróciła się, weszła do łóżka i naciągnęła kołdrę na głowę. Nie powinna myśleć o Joelu. To prawda, uspił jej czujność i wykorzystał moment słabości, ale to już się nie powtórzy.

Następnego dnia po pracy poszła do szpitala. Oddział był jasny, pełen kwiatów i nadzwyczaj zatłoczony. Chodziła między rzędami łóżek, wypatrując Paula. Była coraz bardziej zaniepokojona, nie mogąc nigdzie go znaleźć, aż w końcu natknęła się na pielęgniarkę.

- Przepraszam, szukam doktora Prescottta.

Atrakcyjna, szczupła blondynka uniosła pytająco brwi.

- Doktor Prescott? Nie, chyba go... a, chodzi o Paula. - Wskazała drzwi na końcu korytarza. - Umieściliśmy go w bocznej sali.

- Czy może mi pani powiedzieć, w jakim jest stanie?

- Boli go głowa, ale to było do przewidzenia. Dajemy mu środki przeciwbólowe.

- A kiedy zostanie wypisany?

- To nie ja o tym decyduję, ale myślę, że jeśli nie pojawią się żadne nieoczekiwane okoliczności, będzie mógł wyjść już jutro. Przepraszam, muszę...

Zniknęła w pokoju pielęgniarek, pozostawiając Theę na korytarzu.

Cicho otworzyła drzwi. Paul leżał z zamkniętymi oczami, wspierając głowę na poduszkach. Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu. Był blady, a na czole zaczynał mu ciemnieć wielki siniak.

- Cześć, Paul - powiedziała cicho.

Otworzył oczy, zamrugał powiekami i uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Cześć. Już się bałem, że nigdy nie przyjdiesz. Zastanawiałem się, jak wysłać stąd sygnał SOS.

Nie potrafiła zdobyć się na to, by odpowiedzieć mu równie żartobliwie. Leżał i uśmiechał się, jakby nic się nie stało. Ani cienia wyrzutów sumienia, a przecież, gdyby nie interwencja Joela, i ona mogłaby stać się ofiarą. Odezwała się dużo ostrzej, niż zamierzała:

- Przynajmniej jesteś cały. - Rzuciła na stolik przy jego łóżku magazyny, które przyniosła. - Myślałam, że może przydadzą ci się, chociaż skoro tak cię boli głowa, pewno nie masz specjalnej ochoty na lekturę. Powiedz mi, jeśli ci czegoś...

Paul chwycił ją za ramię, gdy usiadła obok niego na krześle.

- Theo, chcę, żebyś wiedziała, że naprawdę czuję się paskudnie z powodu tego, co się stało. Zachowałem się jak kompletny kretyn. - Przetarł oczy. - Sam nie wiem, jak do tego doszło. Pamiętam tylko niejasno, że powiedziałem masę głupich rzeczy.

Uścisk dłoni Paula na jej ramieniu zacieśnił się. Zmusił ją, aby usiadła na łóżku.

- Spróbujmy o tym zapomnieć, dobrze? - powiedziała.

- To nie takie proste. Wiem, że tutaj nie możemy rozmawiać, ale później... Zobaczymy się, kiedy stąd wyjdę? Musimy sobie wyjaśnić pewne sprawy.

- Oczywiście, Paul.

Usiadł, krzywiąc się z bólu.

- Chcę, żebyś ze mną wyjechała. Wiem, że zachowa-



łem się głupio, ale przecież przeżyliśmy razem tyle dobrych chwil, że żal byłoby ot tak to rzucić.

Patrzyła na niego i zastanawiała się, co tak naprawdę jest czy też było między nimi. Była zadowolona, poddając się biernie biegowi wydarzeń, przyjemnie było się z nim przyjaźnić, ale w pewnym momencie ich drogi zaczęły się rozchodzić. Nie potrafiła sobie uświadomić, gdzie i kiedy. Nie potrafiła, a może nie chciała...

- Wiem, co ci obiecałam - odezwała się ostro - ale naprawdę nie miałam czasu, żeby wszystko przemyśleć.

- Ale zrobisz to, dobrze? - prosił. - Nie chcę cię popędzać, powiedz tylko, że to, co się stało, niczego nie zmienia. Zadzwońię do ciebie, kiedy tylko stąd wyjdę, i porozmawiamy.

- Zadzwoń. - Wstała gwałtownie. - Muszę już iść.

Patrząc na zegarek, zrobiła krok wstecz i poczuła, że wpada w ramiona dobrze zbudowanego mężczyzny. Krzyknęła cicho. Ramiona objęły ją, a dobrze znany głos oświadczył:

- Czułem, że tu cię znajdę.

- To ty?! - Spotkała wzrokiem niebieskie oczy, przypatrujące się jej z błyskiem rozbawienia. Zesztywniała, zaciskając mocno zęby, i wyrwała się z jego uścisku.

- Właśnie wychodziłam.

- Nie musisz tego robić z mojego powodu.

- A co ty właściwie tutaj robisz?

- Jestem lekarzem, zapomniałaś? Mój zawód polega na odwiedzaniu pacjentów. A tak naprawdę to byłem u mojej pacjentki na oddziale położniczym, która właśnie urodziła, no i pomyślałem, że może ustrzelę dwa

ptaszki za jednym strzałem i zobaczę, jak się miewa nasz pacjent. - Spojrzał na Paula. - Jak tam twoja głowa?

- Fatalnie - odparł z irytacją.

- No tak, wyobrażam sobie. Kac daje takie efekty.

- Joel badawczo przyglądał się Paulowi, który był w tej chwili trupio blady. - Powinieneś dziękować losowi, że nikt więcej nie został ranny. Może dzięki temu sprawa na tym się skończy.

- Chcesz powiedzieć, że policja da temu spokój? - spytała Thea.

Wzruszył ramionami i spojrzał na nich chłodno.

- Tak jak powiedziałem, nikt więcej nie został ranny, a droga była mokra. Z całą pewnością nie jest nam potrzebny szum, który by powstał, gdyby wyszło na jaw, że jeden z naszych lekarzy prowadził po pijanemu. Moim zdaniem, im mniej będzie się o tym mówiło, tym lepiej. - Spojrzał na kartę w nogach łóżka.

- Wygląda na to, że jutro wychodzisz. Przejmę na razie twoje obowiązki. Porozmawiamy, kiedy będziesz na chodzie.

Paul wyglądał jak ogłuszony. W głowie Thei kłębiły się sprzeczne myśli. Cieszyła się, że Paul wyszedł z wypadku cało, nie mogła jednak przymknąć oczu na to, czego się o nim przy okazji dowiedziała.

- Muszę już iść - powiedziała wreszcie.

- Theo? - Głos Paula brzmiał żałośnie.

Zmusiła się do uśmiechu i pocałowała go lekko w policzek.

- Naprawdę muszę już lecieć. Mam za dziesięć minut autobus. Zobaczymy się jutro.

Z ulgą usłyszała dzwonek oznajmiający koniec wizyt

i zbiegła po schodach. Była już przy drzwiach, gdy nagle ktoś je przed nią otworzył.

- Podwiozę cię - odezwał się Joel.

- Dziękuję, nie trzeba. Za chwilę mam autobus. -  
Wszystko, tylko nie wspólna jazda, pomyślała.

Mimo to szedł za nią.

- Jestem pewien, że gdy dojdiesz na przystanek, okaże się, że autobus odjechał, i będziesz musiała iść piechotą do domu. A to kawał drogi.

Skonsternowana rozejrzała się i rzeczywiście zobaczyła niknący w oddali autobus. Zamknęła oczy, czyniąc beznadziejny wysiłek wyrzucenia Joela ze swych myśli. Każda chwila w jego pobliżu potęgowała w niej poczucie winy i była prawdziwą torturą.

Nie spostrzegła nawet, kiedy usadowił ją w samochodzie. Po drodze rzucił kilka błahych uwag, poza tym jechali w milczeniu. Patrzyła przez okno, próbując pozbierać myśli. Okazało się to jednak trudne. Jej uczucia do Joela nie dawały się łatwo zasufladkować. Westchnęła bezwiednie.

- Grosik za twoje myśli - powiedział, przenosząc na chwilę wzrok z drogi na jej twarz.

Jej myśli nie były jednak na sprzedaż, i to za żadną cenę.

- Właśnie myślę o Maggie Pemberton - skłamała.

Zręcznie manewrował autem w popołudniowym tłoku, w końcu znów na nią spojrzął.

- No właśnie, chciałem ci powiedzieć, że jej stan się poprawia. Chyba za kilka dni wróci do domu.

- Och, to wspaniale, ale czy poradzi sobie?

- Sama oczywiście nie. - Zmarszczył brwi. - Trzeba będzie pomyśleć o opiece społecznej.

- Nie będzie to proste.

- Wiem. Maggie jest uparta tak, jak to tylko staruszki potrafią. Ale i ona będzie musiała w pewnym momencie przyznać, że czas przyjąć pomoc.

Wbrew sobie roześmiała się.

- Przyznać to jedno, ale przyjąć pomoc to zupełnie inna sprawa.

- Użyję wszystkich sił, żeby przekonać tę starą niedźwiedzicę.

Nagle samochód zatrzymał się koło małego pubu ze spadzistym dachem. Otaczał go schodzący do rzeki ogródek.

- Dlaczego stanęliśmy? - Wyrzała przez okno.

- Odpoczynek. Nie wiem, jak ty, ale ja zdecydowanie lepiej funkcjonuję, jeśli od czasu do czasu coś zjem.

Otworzył drzwiczki i Thea niechętnie wysiadła.

- Czy nie jest za późno na lunch?

- Tu jadają turyści i cały dzień jest otwarte. - Ujął ją za łokieć. - Byłem tu kiedyś. Mają dobre jedzenie.

Na pewno z uroczą Helen! Poczwała, że się czerwieni. Spojrzał na nią pytająco.

- Głodna?

Chętnie zaprzeczyłaby, gdyby nie głośnie burczenie w brzuchu. Zresztą było jasne, że on i tak ma zamiar coś zjeść. Czy miała zatem na złość babci odmrozić sobie uszy?

Jadła z apetytem. Najpierw domowy stek, a potem delikatny sernik. Kiedy w końcu odłożyła nóż i widelec, z zakłopotaniem stwierdziła, że Joel przygląda się jej z rozbawieniem.

- Miło patrzeć na kogoś, kto lubi jeść.

Z poczuciem winy spostrzegła, że zadowolił się sałatką.

- I znowu szlag trafił moją dietę.

- Nie możesz czuć się winna, ilekroć coś sprawia ci przyjemność, a poza tym masz dobrą figurę. Napijesz się kawy?

- Tak, proszę.

- Przyniosę ją na dwór. Nad rzeką jest kilka stolików. Wyszli, mrużąc oczy w słońcu.

- Chodź, popatrzymy. Może zobaczymy pstrągi?

Thea stała cicho, chłonąc piękno wody rwącej wśród kamieni.

- Pięknie tu - wyszeptała. - Tak czysto i świeżo. Jak udało ci się znaleźć to miejsce?

- Przypadkiem. Popatrz, jaka duża ryba.

Spojrzała w kierunku, który wskazywał jego palec.

- Gdzie? Nie widzę.

- O, tam. Pod tą nisko zwisającą gałęzią. - Joel objął ją w pasie.

Odwrociła głowę i poczuła jego ciepły oddech na policzku. Zamiast na rybę, spojrzała mu w oczy.

Nie udawał nawet, że zamierza ją puścić. Jego silne, wysportowane ciało było tak blisko, że czuła bicie jego serca. Wolno odwrócił ją twarzą do siebie i muskał wargami jej usta.

- Theo, Theo - powtarzał miękko.

To nie w porządku, pomyślała, gdy znów ją pocałował. Miała wrażenie, że chodzi po ruchomych piaskach: im silniej walczyła, by się wyswobodzić, tym głębiej tonęła.

- Jak to jest, że kiedy jesteśmy razem, wygląda na to, że się kłócimy? - spytał.

- Nie wiem...

- Przy tobie wychodzi ze mnie wszystko, co najgorsze. - Pogłodził ją po policzku. - Przyjechałem tu w nadziei na spokojne życie, a zamiast tego czuję się jak na wulkanie. Dlaczego nie powiemy sobie prawdy?

To szaleństwo. Ta historia nie ma przyszłości. Powinna skończyć z tym teraz, póki jeszcze nie jest za późno. Pokręciła głową i lekko go odepchnęła.

- Proszę, nie teraz. Teraz nie potrafimy myśleć rozsądnie.

- Nie muszę się zastanawiać, żeby wiedzieć, że cię potrzebuję.

Ale potrzebować to nie znaczy kochać.

- Nie...

- Nie zaprzeczysz, że chcesz tego samego - powiedział stłumionym głosem.

Pokręciła głową. Nie było sensu zaprzeczać.

- Paul mnie potrzebuje. Chce, żebym za niego wyszła. Joel patrzył na nią uważnie.

- Nie jesteś mu nic winna. Podziwiam twoją lojalność, nawet jeśli prowadzi cię ona na manowce, ale może już czas spojrzeć na siebie uczciwie?

- Nie wiem, co masz na myśli...

- Czyżby? - Gorący rumieniec oblewał jej policzki, gdy Joel ciągnął bezlitośnie: - Nie kochasz go. Nie reagowałabyś tak na mnie, gdyby on coś dla ciebie znaczył.

- Mylisz się!

- Czy mam ci to udowodnić? - Pogłodził ją po policzku, musnął delikatnie jej włosy. - Mogę, i to bardzo łatwo. To, co czujesz dla niego, to nie jest miłość.

- Skąd możesz wiedzieć? Zależy mi na nim.

- Rób sobie wodę z mózgu, jeśli chcesz, ale mnie nie

oszukasz. - I ze spiętą twarzą, choć pewnym głosem, dodał: - Znam prawdę i ty też. Musisz tylko się do tego przyznać.

- Nie.

Łzy zakręciły się jej w kąciakach oczu. Wytarła je pośpiesznie, aby nie dać mu poznać, jak łatwo ją zranić. Kochała Joela, lecz nie miała zamiaru mu tego powiedzieć. Choć jej pragnął, związany był z kimś innym. Nie mogłaby dzielić się nim, wiedząc, że nigdy nie odpowie miłością na jej miłość. Potrząsnęła głową i poczuła, jak ogarnia ją pragnienie ucieczki.

- Nie znasz Paula - powiedziała łamiącym się głosem.  
- Jest miły. Ma oczywiście swoje wady, ale w gruncie rzeczy to dobry człowiek. Bardzo go lubię. - Odsunęła się od Joela i nie pozwoliła mu zbliżyć się ponownie.

- Lubić kogoś to za mało na małżeństwo.

- Możliwe - zgodziła się. - Ale to już coś, od czego można zacząć.

- Theo, poczekaj...

- Chcę wracać do domu.

- Moglibyśmy porozmawiać...

- Nie ma o czym. - Oddychała z trudem. - Lepiej będzie, jeśli już więcej się nie zobaczymy.

Lepiej - może, ale na pewno nie łatwiej. Nie wtedy, gdy jedyny mężczyzna, który coś w jej życiu znaczy, stoi o krok od niej i chce wszystkiego z wyjątkiem tego, co ona najbardziej pragnie mu dać - z wyjątkiem jej miłości.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Wszystko w porządku. Zwierzęta są nakarmione i napojone. Teraz nic im nie potrzeba, a rano wpadnie młody Jack Redmond - powiedziała Thea, wchodząc do ciepłej kuchni.

Maggie Pemberton siedziała przy czystym stole z kubkiem herbaty w dłoniach. Jej oczy nagle wypełniły się łzami.

- Sama nie wiem, jak mam dziękować.

- Nie ma potrzeby. - Thea usiadła i wzięła ją za rękę.

- Robię jedynie to, co do mnie należy. Za to właśnie płaci się weterynarzom. - Celowo mówiła żartobliwym tonem. - Najważniejsze to postawić panią znowu na nogi.

- Co ja bym zrobiła ze zwierzętami, gdyby się pani nie pojawiła, pani i ten uroczy doktor Forrester. - Staruszka otarła łzy chusteczką i uśmiechnęła się, kiedy drzwi się uchyliły i do pokoju wkroczył wielki, czarny kot. Otarł się o jej nogi, mruczając głośno. Maggie nachyliła się i podrapała go za uchem. - Tęskniłeś za mną, prawda? Głupie, stare kocisko.

- Wszystkie tęskniły. To naprawdę zwierzęta z charakterem. - Thea wiedziała, że to właśnie należało powiedzieć. Twarz staruszki rozjaśniła się.

- Nie każdy lubi koty.



- Tak się składa, że ja je uwielbiam. - Thea piła herbatę, obserwując jednocześnie sposób, w jaki starsza kobieta porusza się po malutkiej kuchni. - Pozostaje tylko pytanie, czy da sobie pani teraz radę?

- Na pewno, moja droga. Doktor Forrester wszystkim się zajął. Codziennie ktoś ma przychodzić, żeby mi trochę pomóc. Doktor też obiecał, że sam będzie tu wpadał. - Roześmiała się. - Żeby mieć mnie na oku, jak powiedział, ale ja wiem, że chodzi mu o moją szarlotkę. To taki miły człowiek! Przypomina swojego wuja, prawda?

- Z pewnością - przyznała Thea z wymuszonym uśmiechem i spojrzała na zegarek. - Ojej, jak późno! Zaraz wyślą za mną listy gończe.

Pół godziny później deszcz ustał i zaświeciło słońce. Jechała pełną drogą wśród mokrych drzew i żywopłotów, a letni wietrzyk wpadał przez okno i owiewał jej twarz. Po raz pierwszy od kilku dni czuła się spokojna.

Nie trwało to jednak długo, bo wkrótce w jej głowie znowu zaczęły się kłębić różne myśli. Prędzej czy później będzie musiała wpaść na Joela, a zresztą przez te dni, kiedy tak starannie go unikała, wcale nie czuła się lepiej. Jest tylko jeden sposób, aby raz na zawsze się go pozbyć - trzeba stąd wyjechać.

Myśl ta uderzyła ją z taką siłą, że przez chwilę nie mogła skupić się na prowadzeniu i z wysiłkiem przywołała się do porządku. Wyjechać? Porzucić nie tylko pracę, ale i wyspę, która przez ostatnie trzy lata była jej domem i gdzie miała tylu przyjaciół?

Wzdragąca się na myśl o tyra, ale co innego może

zrobić? Zostać tu i widywać Joela, udając, że nic się nie stało? Wiedziała, że to niemożliwe, skoro na jego widok przestawała panować nad sobą. Przejeżdżając obok ośrodka zdrowia, zauważyła niewielki sportowy wóz Joela. Tuż obok stał niebieski samochód Helen.

Nagle zdała sobie sprawę, że jej dłonie z całej siły ściskają kierownicę. Zacisnęła zęby i z determinacją skupiła uwagę wyłącznie na drodze przed sobą, ale zły nastrój jej nie opuścił. Dopiero powrót do codziennej rutyny w lecznicy zmusił ją do skoncentrowania się na innych sprawach.

- Cześć, czy nie przeszkadzam?

- Joannę! Oczywiście, że nie. Jeszcze pół godziny temu zdeptano by cię w poczekalni, taki był tłok, ale już po wszystkim. Siadaj.

Joannę z westchnieniem opadła na krzesło, zsuwając pantofel z jednej stopy.

- Zakupy? - uśmiechnęła się Thea.

- Jak na to wpadłaś? - Joannę masowała palce.

- W gruncie rzeczy chciałam złapać Andrew, ale chyba go nie ma.

- No właśnie, sama miałam nadzieję zamienić z nim słówko, ale okazało się, że został gdzieś wezwany.

- Uważnie spojrzała na przyjaciółkę. - Czy to coś pilnego?

- Nie. - Joannę uśmiechnęła się niewyraźnie. - Miałam nadzieję, że wyciągnę go do Lorenza na lunch i kieliszek dobrego wina.

- Niezły pomysł. Wciąż świętujecie rocznicę?

- Ściśle mówiąc, to... - Na policzki Joannę wypły-

nał rumieniec. - A niech to, muszę komuś powiedzieć, bo inaczej wybuchnę. Jestem w ciąży!

Thea, zapominając na chwilę o własnych problemach, wzięła przyjaciółkę w objęcia.

- Och, to cudownie! Rozumiem, że się cieszysz?

Joannę roześmiała się.

- Jestem zachwycona, chociaż muszę przyznać, że to był szok. Mówiąc szczerze, nie planowaliśmy tego. - Przesiadła na biurku. - Simon ma prawie dziesięć lat, a teraz trzeba się będzie znów przyzwyczaić do tych wszystkich pieluch i zarwanych nocy, ale - uśmiechnęła się - drzę z radości.

- Więc Andrew jeszcze nie wie?

- Wiesz, domyślaliśmy się, ale dopiero dziś potwierdził to lekarz. Miałam ochotę na małą uroczystość, ale trudno. Mamy jeszcze Bóg wie ile czasu.

- Kiedy dziecko się urodzi?

- Dopiero w październiku. Posłuchaj, wiem, że jest jeszcze bardzo wczesnie, ale chcemy, żebyś była matką chrzestną. - Wstała. - Mamy przynajmniej sześć miesięcy na wymyślenie imienia i czekamy na propozycje. Przy poprzednich chłopcach, kiedy próbowaliśmy coś postanowić, doszło prawie do rozwodu.

Thea też wstała.

- Jestem naprawdę wzruszona, że pomyśleliście o mnie, ale...

- Ojej, nie masz chyba nic przeciwko temu? Wiem, że to duża odpowiedzialność...

- Nie o to chodzi. - Thea zawahała się. - Widzisz... nie jestem pewna, czy będę tu mieszkała.

- Nie mówisz chyba poważnie? - Joannę otworzyła

szeroko oczy. - Ale dlaczego? Nic nie rozumiem. Czy chodzi o pracę? Rozmawiałaś o tym z Andrew? Jestem pewna, że nie chce cię stracić. A może chodzi o pieniądze?

- Nie. - Thea drżącą dłonią poprawiła włosy. - W pracy wszystko w porządku i bardzo ją lubię. - Nerwowo przestawiała drobiazgi na biurku. - Czuję, że pora się ruszyć.

Joannę wyglądała na zaskoczoną.

- A co na to Paul?

- Jeszcze z nim nie rozmawiałam. Wyjechał do siostry na rekonwalescencję.

Prawdę powiedziawszy, Paul zaskoczył ją swoją nagłą decyzją. Zadzwoił do niej późnym wieczorem i oświadczył krótko:

- Biorę kilka dni wolnego i wyjeżdżam.

Zaniepokoiło ją, że zareagowała na to uczuciem ulgi. I to w pewnym sensie pozwoliło jej wyjaśnić sytuację. Musiała w końcu dostrzec, że nie kocha Paula i prawdopodobnie nigdy go nie kochała. Lubiła go bardzo, ale nie jest to wystarczająca podstawa do małżeństwa.

Na chwilę zapadło kłopotliwe milczenie.

- Myślałam, że ty i Paul... - Joannę zaczerwieniła się lekko. - To znaczy wydawało mi się... wszyscy myśleli...

- Że jesteśmy zaręczeni? - Wzruszyła ramionami. - Pewno w tym cały problem. Przyzwyczailiśmy się do siebie i jakoś to szło. Oczywiście, jesteśmy przyjaciółmi...

- Ale to nie to, co się wszystkim wydaje?

- Zabrało mi trochę czasu, żeby to pojąć. - Thea westchnęła. I pomógł Joel, dodała w duchu.

- Ale czy koniecznie musisz wyjeżdżać? Sama mówiłaś, że kochasz to miejsce. Co będziesz robiła? Dokąd pojedziesz?

Thea potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Jeszcze o tym nie myślałam. Wszystko to mgliste projekty.

- A co z mieszkaniem?

- Przynajmniej to ode mnie nie zależy. Umowa wygasa za sześć miesięcy.

- No to co? Możesz ją odnowić. Nigdy nie było z tym problemów.

- Jak dotąd nie, ale teraz... Czyżbyś zapomniała, że Bob już nie jest właścicielem?

- Dalej nie wiem, na czym polega problem. - Joannę rzuciła jej zdziwione spojrzenie. - Porozmawiaj z Joelem.

- Już rozmawiałam. Wygląda na to, że ma inne plany. Ziemia to cenna rzecz w dzisiejszych czasach i trudno mieć do niego pretensje, jeśli chce ją sprzedać.

Joannę wytrzeszczyła oczy.

- Sprzedać? Joel? - Roześmiała się z niedowierzaniem. - Nie mówisz chyba tego poważnie?

- Tak się składa, że wiem to od Joela.

- To niemożliwe. Tu są jego korzenie, on nie sprzedałby tej ziemi.

- Może, ale pamiętaj, że ludzie się zmieniają.

Joannę posłała jej długie, przenikliwe spojrzenie.

- To Joel, prawda? Zakochałaś się w nim.

- Boże, nie wiedziałam, że to aż tak widać!

- Nie widać. Możesz to złożyć na mój stan. Mówi się, że ciąża zwiększa wrażliwość. A mówiąc poważnie, rozważ to jeszcze. Może wszystko z czasem się ułoży.

- Nie. Joel od samego początku postawił sprawę jasno: jestem jak drzazga za paznokciem i im prędzej się wyniosę, tym lepiej. Ja marzę o tym samym. - Miała nadzieję, że mówi przekonująco. - Poza tym nie chodzi tylko o Joela. Jest wiele innych powodów. Nawet jeśli znajdę inne miejsce dla moich zwierząt, nie będę mogła płacić wyższego czynszu, nie mówiąc o karmieniu i leczeniu.

Joannę westchnęła.

- Andrew będzie zrozpaczony. Daj sobie jeszcze trochę czasu...

- Niestety, nie stać mnie na ten luksus. - Thea zmusiła się do uśmiechu. - Andrew jest dobrym weterynarzem, będzie mi go brakowało, a także ciebie i dzieci, ale pora coś zrobić. Kto wie? Może wszystko obróci się na dobre. Może któregoś dnia otworzę własną praktykę? - Spojrzała na zegarek. - Lepiej już pójdę. Pozwolisz, że sama porozmawiam o tym z Andrew? Muszę najpierw poukładać sobie wszystko w głowie.

Łatwiej powiedzieć niż zrobić, pomyślała, gdy znalazła się w domu. Jak to się stało, dumiała patrząc przez okno, że nagle jej życie stało się tak strasznie skomplikowane? Jak jeden człowiek może spowodować aż tyle zamieszania? Jess podeszła do niej i szturchnęła ją nosem, patrząc smutno.

- Masz rację. - Thea pieszczotliwie pogłaskała psa. - Potrzebny jest nam spacer i łyk świeżego powietrza. - Wiedziała, że nie rozwiąże to jej problemów, miała jednak nadzieję, że pozwoli pozbyć się dręczącego bólu głowy.

Po chwili, ubrana w ciepły żakiet i wygodne buty, szła przez pola, szukając oznak zbliżającego się lata.

W wyobraźni już teraz widziała, jak będzie tu wszystko wyglądało za kilka tygodni: słońce tańczące na falach, wczasowicze na plażach i kwitnące żywopłoty. Pomyślała z żalem, że nie będzie jej tutaj, by tym wszystkim się cieszyć.

Dzień był jasny, lecz chłodny, i jej policzki szybko się zaróżowiły. Spędziła godzinę, rzucając Jess kamienie i patrząc, jak przynosi je z powrotem, prosząc o jeszcze. Kiedy wracała do domu, poczuła, że smutek odpłynął, za to pojawił się głód.

- Chodź, Jess. - Czuła się odświeżona i cieszyła się na myśl o spóźnionym lunchu.

Podgrzewała zupę, gdy ktoś zapukał.

- Och, nie! Kogo to diabli niosą? - Otworzyła drzwi i rumieniec zalał jej policzki. - To ty?

- Nie zamykaj. - Joel przytrzymał ręką drzwi, które próbowała zatrzaskać. - Musiałem się z tobą zobaczyć.

- Myślałam, że powiedzieliśmy sobie już wszystko, co było do powiedzenia. - Słyszała, jak dziwnie zdławiony jest jej głos.

- To nie jest towarzyska wizyta, potrzebuję twojej pomocy. Wellie ma nawrót. Źle to wygląda.

- Gdzie on jest?

- W samochodzie. Wiem, że było ryzykowne go ruszać, ale pomyślałem, że będzie szybciej, jeśli go do ciebie przywiozę.

- Dobrze zrobiłeś.

- Wniosę go do środka.

Czekała w drzwiach, podczas gdy on poszedł do samochodu i po chwili wrócił z owiniętym w koc psem.

- Zanieś go tam. - Idąc przodem, wskazywała drogę.

- Połóż go na stole. - Miała już swoją torbę i pospiesznie wyciągała stetoskop. Wellie leżał bez ruchu. - Powiedz mi, co się stało?

- Wczoraj prawie nie tknął jedzenia, ale kiedy rano wychodziłem, wyglądało, że wszystko jest w porządku. Może był trochę śpiący, nie chciał wstać i nie domagał się spaceru.

Thea, osłuchując psa, skinęła głową.

- Wymiotował?

- Odrobinę. - Joel spojrzął na nią. - Proszę, pomóż mu. Rozumiem, że będziesz znów musiała zatrzymać go na kilka dni u siebie...

- Nie sądzę. - Thea odłożyła wolno stetoskop.

- Mogę zaraz przynieść tu jego rzeczy...

Thea z trudem przełknęła ślinę.

- To nie ma sensu. On odszedł. - Joel zacisnął mocno zęby. - Tak mi przykro. - Głos jej zadrżał. - Po prostu wysiadło mu serce. Jeśli może cię to pocieszyć, to nie cierpiał. Był już po prostu bardzo stary i zmęczony.

Załkała cicho, popatrzyła na niego nie widzącym wzrokiem i nagle łzy popłynęły jej po policzkach. Joel objął ją i pogładził po włosach.

- Już dobrze, Theo.

- To śmieszne - łkała - to nawet nie był mój pies. - Była przecież weterynarzem, a to, że zwierzęta umierają, było smutne, lecz przecież nieuniknione. Wiedziała jednak, że chodzi nie tylko o to. Ten płacz był nagłym rozładowaniem narastającego od dawna napięcia. To był Wellie, Paul i ten mężczyzna, kołyszący ją teraz w ramionach. Z cichym westchnieniem odsunęła się od niego, otuliła psa kocem i nastawiła wodę.



- Myślę, że dobrze nam zrobi kawa.

Joel chwycił ją za rękę, powstrzymał jej gwałtowne ruchy i odwrócił twarzą do siebie.

- Nie chcę kawy, Theo.

- Nie sądzisz...

- Wcale nie chcesz wiedzieć, co sądzę.

Pochylił głowę i pocałował ją. Thea myślała teraz jedynie o tym, jak dobrze jest być w jego objęciach, tak jakby było to po prostu jej miejsce. Całowali się zachłannie, a kiedy rozluźnił uścisk, usłyszała swoje słowa:

- Nie idź...

- Nie bój się - szepnął, nim znów przylgnął wargami do jej ust.

Wziął ją na rękę, zaniósł do salonu i posadził na kanapie. Uniosła dłonie, powoli objęła go za szyję i natychmiast znalazła się w jego ramionach. Ten kontakt wyzwolił w niej falę ciepła, rozlewającą się po całym ciele. Westchnęła cicho.

- Theo - szepnął, błędząc wargami po jej szyi, policzkach, oczach.

- Nie powinniśmy... - wyjąkała słabo.

- Przestań walczyć. Nie próbuj nic zrozumieć. Po prostu pozwól, żeby to się stało.

Miał rację. To szaleństwo, zupełne szaleństwo. Ale o tym pomyśli później. Tuliła się do niego, pewna, że tego właśnie chce bardziej niż czegokolwiek w życiu.

Ostry dźwięk telefonu przywołał ją do rzeczywistości.

- Niech dzwoni.

- Muszę odebrać - wyjąkała. - Mam dziś dyżur, to może być coś pilnego. - Sięgnęła po słuchawkę.

- To jest pilne - powiedział, całując ją w ucho. Z trudem odsunęła głowę.

- Thea Somers, słucham - rzuciła bez tchu.

Głos Paula brzmiał nerwowo.

- Przepraszam, że dzwonię dopiero teraz, kochanie, ale właśnie wróciłem.

- Paul... - Głos uwiązał jej w gardle. Joel spojrzał na nią i wstał powoli ze stężałą twarzą. Chciała go zatrzymać, odzyskać utracony moment.

- Dzwonię, żeby sprawdzić, czy wszystko w porządku i spytać, czy jutro się zobaczymy.

- Jutro? - Zerwała się na nogi, starając się gwałtownie zebrać myśli. Chwyciła za rękę zmierzającego w stronę drzwi Joela.

- Nie przejmuj się mną - powiedział spokojnie. -. Znam drogę. Rozumiem i obiecuję, że już nie będę cię niepokoił.

Wyszedł, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. Została ze słuchawką przy uchu, prawie nie rozumiejąc tego, co Paul do niej mówił.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

- Weź kilka wolnych dni i pomyśl jeszcze o tym.  
- Siedząc na biurku, Andrew postukiwał cybuchem wygasłej fajki w dłoń. - Wiesz przecież, że będzie mi cholernie przykro, kiedy odejdziesz.

Thea z boleśnie ściśniętym gardłem wpatrywała się w smaganą deszczem uliczkę za oknem i niewielką przystań, spowitą całunem nisko wiszących chmur.

- Wiem i naprawdę jestem ci bardzo wdzięczna.

- Ale nie rozważysz wszystkiego jeszcze raz?

W obronnym geście objęła się ramionami.

- Nie mogę. - Zmusiła się do uśmiechu. - Czas się ruszyć. Popadłam tu w miłą rutynę.

- Nie widzę w tym nic złego - zauważył spokojnie.

- Wiele dobrego da się powiedzieć o stabilizacji. Daje ludziom poczucie bezpieczeństwa.

Spojrzała na niego ze smutkiem.

- Wiesz, że mi nie ułatwiasz?

- Niech będzie. - Ssał ustnik fajki, lecz wciąż jej nie zapalał. - Widzę, że już wszystko sobie przemyślałaś.

Nic nie jest dalsze od prawdy, pomyślała Thea. To paniczna ucieczka. Codziennie bała się spotkania z Joelem i własnej reakcji, gdyby do tego doszło.

- Tłumaczyłam Joannę, że ceny gruntów rosną i muszę sobie znaleźć inne miejsce.

- Nie chcę się wtrącać - rzucił Andrew z napięciem - ale może przesadasz? Wiem, że nie możesz dogadać się z Joelem, czy nie możecie jednak dojść do jakiegoś kompromisu?

- Nie. Życie nigdy nie jest tak proste, jak się wydaje. Potrzebna mi jest zmiana.

- Będzie nam ciebie brakowało.

- Mnie was też. Byłam tu taka szczęśliwa.

Tak, ale to było przedtem, kiedy jej życie obracało się wokół Paula i pracy. Teraz nie potrafiła zrozumieć, jak mogła kiedyś rozważać myśl poślubienia go, jak mogła tak biernie poddawać się nurtowi zdarzeń. To było, zanim pojawił się Joel i przewrócił jej życie do góry nogami.

Paul odszedł nagle kilka dni temu, ale nie miało to już znaczenia. Wróciła myślą do ich ostatniego spotkania, kiedy to powiedziała mu spokojnie, że go nie kocha i że za niego nie wyjdzie. Oczekiwała walki, była przygotowana na odparcie jego argumentów, ale to nie nastąpiło. Zaskoczył ją spokój, z jakim przyjął to, co mu oznajmiła.

- Spodziewałem się tego - powiedział tylko. - Czułem, że tak jest. - Uśmiechnął się i pogładził ją po policzku. - Mogło coś z tego być, ale nie potrafiliśmy się zdecydować.

- Różnimy się od siebie.

- To Forrester, prawda?

Zaskoczona, próbowała zaprzeczać. Nie widziała Joeła ani nie miała od niego żadnych wiadomości od tego wieczoru, kiedy zadzwonił Paul.

Parę dni później dowiedziała się, że Paul wyjechał. Myślała, że będzie jej żal, ale nie. Utwierdziła się

w przekonaniu, że dobrze zrobiła. Teraz potrzebowała jedynie szansy na rozpoczęcie wszystkiego od nowa - gdzieś, gdzie nie będą prześladować jej wspomnienia.

Spojrzała prosto w oczy Andrew.

- Cenię każdą minutę pracy z tobą, kocham Joannę i chłopców, ale muszę rozwinąć skrzydła i nauczyć się sama fruwać. Może kiedyś otworzę prywatną praktykę dzięki poczuciu pewności siebie, które zdobyłam przy tobie. Nie niszczyć go.

Andrew pokiwał głową z wyrazem rezygnacji.

- Dobrze, ale gdybyś kiedyś zmieniła zdanie, pamiętaj, że zawsze jesteś tu mile widziana.

To niemożliwe, myślała idąc do samochodu, przynajmniej dopóki kręci się tu Joel.

W ciągu następnych dni była na szczęście tak zajęta, że nie miała czasu na rozmyślanie. Pogoda, jakby mszcząc się na niej, pogorszyła się gwałtownie. Całymi dniami brnęła przez błotniste podwórka i drogi, a potem wracała do domu zmęczona i przemoczona. Wieczorem, kiedy nakarmione i napojone zwierzęta szykowały się do snu, podgrzewała sobie coś do jedzenia i siadała przy kominku, słuchając wycia wiatru za oknem.

- Masz rację, piesku, to nie jest wieczór na spacer - powiedziała do Jess, która drząc przywarowała u jej stóp. Ze współczuciem pomyślała o Andrew, który miał dziś dyżur, owinęła się kurtką i poszła jeszcze raz zajrzeć do klatek. Zwierzęta instynktownie bały się burzy i były niespokojne.

Uspokoiwszy je, wróciła do kuchni. Zrobiła sobie filiżankę gorącej czekolady, zamknęła dokładnie drzwi i sprawdziła okna.

Później, już w sypialni, stanęła przy oknie i wpatrywała się w ciemność. Zza drzew dostrzegła światło w domu Joela. Spojrzała na zegarek. Północ. Pewno i jemu burza nie daje spać, pomyślała.

Ziewając, odeszła od okna i położyła się, lecz gdy tylko schowała się pod kołdrę, zaczął nachodzić ją obraz Joela.

- Nie, nie! - jęknęła i z całych sił zacisnęła powieki.

Jutro zaczniesz szukać nowej pracy. Im szybciej się stąd wydostanie, tym prędzej się pozbiera. Cóż za ironia losu. Nie chciała rozstać się z tym miejscem dla Paula, a teraz zamierza to zrobić dla siebie.

Naciągnęła kołdrę pod brodę i wzięła głęboki oddech. Może powinna zacząć Uczyć barany? Gdzieś szcęknęła furtka. Wiatr szalał na dworze. Już druga! Jęknęła, przewróciła się na bok i przykryła głowę poduszką, by nie słyszeć bębnienia deszczu o szyby. Wreszcie zapadła w sen przerywany dręczącymi zwidami. Wydawało jej się, że Paul przepędza stado owiec przez furtkę, a ktoś pełnym wściekłości głosem domaga się od niej, by wstała.

Tylko że to chyba nie był sen. Ktoś bezlitośnie szarpał ją za ramię. Ocknęła się roztrzęsiona i całkiem bez tchu. Próbowwała odepchnąć rękę ściskającą ją za ramię.

- Wstawaj! Otwórz oczy!

- Idź! - wykrztusiła. - Muszę się wyspać.

- Wcale nie musisz. Obudź się, do diabła!

W końcu zmusiła się, by otworzyć sklezione snem powieki. Nad nią stał Joel z ponurą twarzą i mokrymi włosami, jakby właśnie wyszedł spod prysznica.

To nie jest prawda, powiedziała sobie, to tylko sen. Jednak ręce, które potrząsały nią, były absolutnie realne.

- Wstawaj natychmiast!

Usiadła na łóżku z szeroko otwartymi oczami.

- Co ty wyprawiasz? - Jej zamroczony umysł zaczął powoli pracować. - Jest czwarta! Jeszcze ciemno! - Z wściekłością chwyciła kołdrę i podciągnęła ją pod brodę. - To mój dom i moja sypialnia! - wrzasnęła. - Jak tu wszedłeś? Czego chcesz? Nie słyszałeś, że trzeba pukać, zanim się wejdzie?

Joel obrzucił ją ironicznym spojrzeniem.

- Wierz mi, że nie interesuje mnie w tej chwili twoja cnota. A jeśli chodzi o pukanie, to waliłem w drzwi przez całe dziesięć minut. Nie wiem, na jakich jesteś proszkach, ale to musi być coś cholernie mocnego, jeśli możesz spać przy tym, co się dzieje na dworze.

Spojrzała mu w twarz. Jak on śmie sugerować, że jest lekomanką!

- Zwariowałeś - warknęła. - Wyjdiesz stąd, czy...

- Nie mam czasu na kłótnie. - Zerwał z niej kołdrę. - Ubieraj się - rzucił krótko. - Dżinsy, sweter, coś ciepłego...

- Nie ma mowy, chcę spać!

Nawet jej nie słuchał. Otworzył szafę, wyciągnął z niej gumowce i rzucił w jej stronę.

- Przydadzą ci się. Mam nadzieję, że masz latarkę?

- Chyba nie sądzisz, że gdzieś z tobą wyjdę?

- To nie jest zabawa. - Stał już przy drzwiach. - Bóg wie, jak ktoś może spać w takim huku. Przed chwilą zwaliło się drzewo.

- No i co z tego? Mam je podnieść?

Twarcz mu stężała.

- Upadło na płot i część zabudowań - wyrzucił

z wściekłością. - Twoje zwierzęta szaleją, niektóre mogą być ranne.

Thea pobladła.

- O mój Boże, przepraszam...

- Ubieraj się szybko. - Wyszedł z pokoju, odprowadzany jej zawstydzonym spojrzeniem.

Po minucie, już w dżinsach i swetrze, zbiegła po schodach do kuchni. Joel napełniał wrzątkiem kubki z kawą.

- Najpierw to wypij!

- Chcę zobaczyć, co się stało.

- Powiedziałem, najpierw kawa. Na dworze jest zimno. Także mokro i ciemno. A poza tym zrobiłem już szybki obchód. Wygląda na to, że budynek jest częściowo zniszczony, ale zwierzętom nic się nie stało. Miałaś szczęście.

- Szczęście? - Jemu mogło się tak wydawać. Prawie zadławiła się, pijąc pospiesznie kawę. - Niektóre z tych zwierząt nie przeżyją same nocy na dworze. - Spojrzała na Joela z niemą prośbą. - Muszę zobaczyć je sama.

Włożyła kurtkę i wyszli razem na podwórko. Miał rację mówiąc, że jest zimno. I jeszcze te strugi deszczu zacinające w twarz.

Okrzyżyli dom. W migotliwym świetle latarki zobaczyła zwalony dąb, wyrwany z korzeniami. Jęknęła. Jego konary tylko o kilka metrów chybiły jej domu, a konkretnie pokoju, w którym spała. Wstrząsnął nią dreszcz. Dopiero teraz zrozumiała, co Joel miał na myśli, mówiąc, że ma szczęście.

- Muszę sprawdzić, co się dzieje ze zwierzętami.

- Ja to zrobię. Tam może być niebezpiecznie.



Pokręciła głową.

- Nie, zwierzęta są przestraszone, a mnie znają.

Z trudem torując sobie drogę pośród gałęzi i konarów, ogłądała straty z rosnącym przerażeniem. Było dużo gorzej, niż przypuszczała.

Boczna ściana stajni została prawie całkowicie zniszczona przez padające drzewo. Sporo klatek leżało na ziemi z otwartymi drzwiczkami; zostały strącone przez większe gałęzie. Oglądając wszystko po kolei i szacując straty, odetchnęła z ulgą.

- Nie jest tak źle. Chyba żadne nie jest ranne.

- Poczekaj, pomogę ci. - Joel podszedł do niej, gdy zajęła się przewróconymi klatkami, cicho uspokajając ich przerażonych mieszkańców.

- Czy któregoś brakuje?

- Na razie wydaje mi się, że tylko Geralda.

Skrzywił się zabawnie.

- Co, znowu Gerald?

- Nie mógł uciec daleko - wyszeptała. - O, tam...

- Spojrzała na stos słomy, w którym coś się poruszyło.

- Podaj mi małą klatkę.

Cicho i spokojnie zbliżyła się do wystraszonego zwierzątka.

- Chodź tu, Geraldzie. To nie jest noc na spacer...

- Święta racja - mruknął Joel.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie, uklękła i sprawnie manewrując klatką, umieściła w niej Geralda. Odgarnęła kosmyk mokrych włosów z policzka i sięgnęła po następną klatkę. Mała, zielona papużka krzyczała przerażona i trzepotała skrzydłami.

- Daj mi to - powiedział. - Jeszcze coś?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

- W takim razie zamocuję plandekę. Osłoni zwierzęta przed najgorszym wiatrem. A potem pójdziemy do mnie.

- Nie, ja...

- Nie mam ochoty na kłótnie - przerwał jej szybko.

- Jestem mokry, zmarznięty i zmęczony. Jest tu jeszcze wiele drzew, które w każdej chwili mogą się przewrócić, a ja nie mam zamiaru mieć cię na sumieniu.

Wiedziała, że Joel ma rację. Pięć minut później stała, trzęsąc się, w jego salonie, a woda skapywała z niej na gruby dywan. Joel włożył kłodę do kominka i podniósł słuchawkę.

- Przynajmniej to działa. Bałem się, że kabel zamókł. Chyba jednak jest jeszcze za wcześnie, żeby gdzieś dzwonić. - Spojrzał na nią. - Lepiej zdejmij te mokre rzeczy. Na górze znajdziesz spodnie i sweter. Musisz sobie jakoś poradzić. Weź prysznic, to rozgrzejesz się szybciej. Ja przygotuję śniadanie.

Poczuła, że się czerwieni. Sama myśl o noszeniu jego ubrań i używaniu jego prysznic przywoływała atmosferę intymności, o której nawet nie śmiała marzyć.

- Nie jestem głodna. - Nie potrafiła opanować drżenia. - Poczekam, kiedy będę mogła pójść do siebie i przynieść sobie jakieś rzeczy. Za pół godziny zrobi się całkiem jasno. Mogę...

- Nie możesz - uciał krótko.

- Jak to, nie mogę...

- Tak się składa, że jestem tu właścicielem. Nie mam zamiaru być pociągnięty do odpowiedzialności, jeśli dach się zawali, a ty będziesz w środku. Poza tym nie chcę, żebyś dostała obustronnego zapalenia płuc.

- No wiesz, nie jesteś chyba aż tak delikatny - wybuchnęła. - Chyba ucieszyłybyś się, gdybyś w końcu miał mnie na zawsze z głowy.

- Gdyby to było takie proste - rzucił cierpko, wycierając włosy ręcznikiem. Odrzucił go na bok i zdjął sweter.

Thea westchnęła. Migocący w kominku płomień rzucał cienie uwydatniające rysy jego twarzy i oczy, przyciągające ją z hipnotyczną siłą.

- Zdejmij przynajmniej sweter - nalegał. - Znajdę ci coś na zmianę.

Zniknął na schodach. Z wahaniem zdjęła sweter, uświadamiając sobie nagle, jak ściśle przylegał do jej figury.

- Masz, jest na pewno za duży, ale przynajmniej suchy. - Podał jej obszerny męski sweter.

Wzięła go, lecz nie potrafiła włożyć na siebie zziębniętymi dłońmi. Joel pokręcił głową i pomógł jej przeciągnąć sweter przez głowę.

- Dzie-dziękuję...

Próbowała się odsunąć, ale jego dłonie spoczywały na jej ramionach. Drżała, choć zaczęły palić ją policzki.

Szorstko przyciągnął ją do siebie. Usłyszała jego urwany oddech, gdy uwięził jej twarz w dłoniach i zmusił, aby spojrzała w jego wyzywające, niebieskie oczy.

- Do diabła, dlaczego w twojej obecności zawsze mam wrażenie, że siejesz w moim życiu kompletny zamęt? - spytał. - O co, do cholery, chodzi z tym twoim wyjazdem? Andrew mi powiedział.

- Zapomniałeś? - Słowa z trudem wydobywały się z jej ściśniętego gardła. - Moja umowa niedługo się kończy, a naprawdę mnie nie stać, żeby płacić więcej.

- Nie powiedziałem, ile zamierzam brać.

- Wszystko jedno, nie stać mnie. Poza tym dałeś zupełnie jasno do zrozumienia, że masz inne plany wobec tego domu.

- Plany można zmieniać - rzucił opryskliwie.

Czego on właściwie chce?

- Nie mamy o czym dyskutować. Nie widzisz? Oboje wiemy, że nie możemy być sąsiadami. To nie ma sensu.

- To nie może mieć sensu, ponieważ ona go kocha, a on nigdy nie odwzajemni tej miłości. On może się zgodzić najwyżej na romans, ale dla niej to będzie zbyt bolesne.

- A więc to tak? Szczur ucieka z tonącego okrętu, żeby rzucić się na jakąś inną niewinną duszyczkę?

Drwina w jego głosie doprowadziła ją do furii. Jak on może ironizować w takiej chwili? Odskokczyła na bezpieczną odległość.

- Zimny drań - powiedziała twardo.

Oczy Joela pociemniały.

- Co z tobą? Wstałaś z łóżka lewą nogą? Zaraz znajdziemy na to lekarstwo. - Bez ostrzeżenia objął ją, przyciągnął do siebie i wpił się w jej usta. - A może chodzi o twojego chłopaka? - Po chwili spojrzał na nią z góry. - Jestem pewien, że moglibyśmy się dogadać w sprawie czynszu. A jeśli chodzi o resztę...

Nie mogła uwierzyć własnym uszom!

- Paul nie ma tu nic do rzeczy. Jeśli już musisz wiedzieć, dostał propozycję pracy i wyjechał tam, gdzie zostanie doceniony...

- I dlatego jesteś taka zła? Bo nie zaczekał na ciebie? Siedzisz na walizkach i nie możesz się doczekać, kiedy będziesz mogła za nim pojechać? Tęsknisz, żeby ogrzał ci łóżko?

- Paul i ja rozstaliśmy się po przyjacielsku - odparła sztywno. - Ty nam w tym nie pomogłeś. Nie było też nigdy mowy o tym, żebym z nim wyjechała ani o...  
- Urwała, zaskoczona triumfującym wyrazem jego twarzy. Co ona najlepszego zrobiła! Zbyt późno uświadomiła sobie, że Joel celowo ją sprowokował, by straciła panowanie. Rzuciła mu wrogie spojrzenie. - Przejrzałam cię na wylot i to jest jedyny powód, dla którego opuszczam to miejsce.

Joel wyglądał na zamyślonego.

- Nie jest jeszcze za późno, Theo.  
- Za późno? - powtórzyła.  
- Możesz jeszcze za nim pojechać, jeśli chcesz.  
- Chwycił ją za nadgarstki. - Czy tego chcesz? - Jego wargi były bardzo blisko. Thea zamknęła oczy. - Theo, popatrz na mnie!

Spojrzała i natychmiast tego pożałowała. Próbowała odwrócić głowę, ale zmusił ją, by patrzyła mu w oczy.

- Ja nie... - Prawie łkała z poniżenia. Nagle poczuła narastający gniew i znowu ruszyła do ataku. - Jesteś zadowolony? Powiedziałaś, że Paul nie jest dla mnie odpowiedni, no i dowiodłeś, że miałeś rację. Jest pan z tego powodu bardzo szczęśliwy, doktorze?

- Niczego nie musiałem dowodzić. Zawsze znałaś prawdę, musiałaś ją tylko dostrzec.

- Nigdy nie lubiłeś Paula, prawda? - spytała zaczepnie. - Odkąd tu się pojawiłeś, jego życie stało się nie do zniesienia. Chciałeś, żeby się wyniósł.

- Nic nie musiałem robić. A czy go lubiłem? - Jego głos zabrzmiał ostro. - Nie lubiłem go z tobą.

- Jakie to ma znaczenie? Dlaczego miałbyś się tym przejmować?

Przyglądał się jej z namysłem.

- Mówiłem sobie, że nie powinienem, a jednak...  
- Ujął w dłonie jej twarz i łagodnie przesunął palcem po dolnej wardze. - Ostatnia rzecz, jakiej potrzebo-  
wałem, to nowe komplikacje, a tu nagle pojawiłaś się ty. Ty i te twoje cholerne zwierzaki. To było... jak ude-  
rzenie obuchem w głowę... Panowałem nad sobą, dopó-  
ki nie popełniłem błędu. Pocałowałem cię i w jednej  
chwili... Może się myślę, ale wydaje mi się, że i ty to  
poczułaś. Coś się stało. Powtarzałem sobie, że to szaleń-  
stwo, ale...

Wpatrywała się w niego, wstrzymując oddech.

- Nie rozumiem. Co chcesz powiedzieć?

- Że byłem zazdrosny - odparł. - Udawałem, że nic  
mnie to nie obchodzi, ale myśl o was doprowadzała  
mnie do szaleństwa. Pragnąłem cię. Nie mogłem zrozu-  
mieć, jak to jest, że reagujesz na mnie w ten sposób,  
a potem uciekasz. Przeszedłem piekło, odkąd cię spot-  
kałem. Rozumiesz to?

Milczała, bojąc się, że źle rozumie jego słowa.

- Ale ty nie chcesz angażować się poważnie? - spy-  
tała z wahaniem.

- Nie twierdzę, że jest w tym jakakolwiek logika.  
Nie byłem nawet pewny, czy dobrze odczytuję twoje  
zachowanie. - Szeroko otworzyła oczy. - Dawałaś do  
rozumienia, że nic ci się we mnie nie podoba - ciągnął  
niecierpliwie. - Ale kiedy cię całowałem, odpowiadałaś  
w taki sposób... - Jego oczy badały jej twarz z niezwy-  
kłą intensywnością. - Nie mogłem się mylić! - Pogła-

dził jej policzek i mocno przytulił. - Czy mogę ci to udowodnić?

- To nie w porządku - poskarżyła się bez tchu. - Ja wciąż nic nie rozumiem.

- A ja myślałem, że to takie oczywiste. - Odchylił głowę i spojrzał na nią błyszczącymi oczami.

- Nie dla mnie - prychnęła głośno. - A Helen? Czyżbyś zapominał o jej istnieniu, kiedy jest ci to wygodne, a potem przypominał sobie, kiedy znów jest ci to na rękę?

- Helen nic dla mnie nie znaczy - oświadczył z naciśnięciem. - Przynajmniej w tym sensie, o którym myślisz.

- Jak możesz tak mówić?

- Helen i ja wychowywaliśmy się razem i zawsze byliśmy przyjaciółmi.

- Aha!

Błądził wargami po jej szyi, twarzy, włosach.

- Czy mam rozumieć, że jesteś troszkę zazdrosna?

- Dotarł do jej warg i uciszył wszelkie protesty. Jego dłonie zawędrowały pod sweter; czuła ich ciepło na skórze. - Och, Theo, nie panuję nad sobą, kiedy jesteś blisko. Czy wiesz, jak bardzo cię pragnę? Od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem - szeptał, oddychając nierówno. - Helen to przeszłość. Może miała na coś nadzieję, szczególnie, kiedy wróciłem...

- A twoje małżeństwo? - spytała. - Słyszałam...

- Każdemu wolno się pomylić. - Spojrzał jej w oczy.

- Przez pewien czas obiecywałem sobie, że już nigdy więcej to się nie zdarzy, ale skąd mogłem wiedzieć, że spotkam ciebie? A kiedy cię spotkałem, kręcił się koło ciebie ten Paul.

- Nie kocham go. Może przez chwilę tak mi się wy-

dawało, ale to nigdy nie miało szans. Każde z nas chciało czegoś innego...

- A ja chcę ciebie.

- Przecież chciałeś się mnie pozbyć. Straszyleś, że sprzedasz ziemię...

- Dosłownie brzmiało to chyba trochę inaczej. - Jego oczy zabłyśły. - Przyznaję, dzierżawa miała być bronią przeciwko tobie, ale w końcu ta bomba wybuchła mi w ręku. Potraktowałeś to poważnie, a ja zrozumiałem nagle, że mogę stracić cię na zawsze. - Głos mu zadrżał. - Nigdy w życiu nie pragnąłem nikogo tak bardzo jak ciebie. Kocham cię, Theo. Powiedz, że i ty mnie kochasz.

- Kocham cię - szepnęła. - Tylko jak ja to wszystko wytłumaczę Andrew?

- Nie sądzę, żebyś musiała mu cokolwiek tłumaczyć. Tylko ślepy nie zauważyłby, jak bardzo cię kocham.

Thea pogładziła go po twarzy.

- Czy na pewno wiesz, co na siebie bierzesz? - spytała szeptem. - Nie tylko mnie.

- Nie mów mi - wymamrotał, całując jej oczy i usta. - Geralda też?

- Niestety! - Zaśmiała się miękko i delikatnie pocałowała go w policzek. - Kocham cię!

- No dobrze, zawsze przecież możemy zbudować arkę.